J. SŁOWACKI

LIRYKI

JULIUSZ SŁOWACKI

LIRYKI

WARSZAWA ▫ GEBETHNER
I WOLFF ▫▫▫▫▫▫ KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA

20113

LIRYKI



·JULIUSZ· SŁOWACKI

WYBORU DOKONAŁ ARTUR GÓRSKI.

JULIUSZ SŁOWACKI

LIRYKI

WARSZAWA ▫ GEBETHNER
I WOLFF ▫ ▫ ▫ ▫ ▫ ▫ KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Kraków — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

CZĘŚĆ I.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta;

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom — i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem.

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, — dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, d. 20 lipca 1835 r.

OSTATNIE WSPOMNIENIE.

DO LAURY.

Dawniej bez serca — dziś bez rozumu,
O! biedna Lauro! — nim zginę,
Dla ciebie z głuchych pamiątek tłumu
Wianek Ofelii uwinę...

Ty go drżącemi weźmiesz rękoma,
Jak wąż ci czoło okręci.
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci...

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie, — lecz głowę zegnie:
Śmiech nie pociesza, — ból nie zabija,
Wkrótce i rozum odbiegnie.
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wicher nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
A w nicość śmierć nie pochłonie...

Strętwiałość! — za cóż ten zimny kamień
Na serca nasze się wali?
Żeśmy się niegdyś w kraju omamień
Na jednej drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem,
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Za innem biegłaś widziadłem.

I coraz wyżej w niebo lecąca
Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
Zwiędłą rzuciłaś mi różę.
I nie wiem nawet czy z twego czoła,

Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twej duszy, jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała.
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
Którąś ty w serce nalała.
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty oddechem przebiegła?...
Nie laur na głowie — lecz z ognia wieniec
Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę...
Lecz gdy do szczęścia świat mnie zawoła,
Nie biegnąc za szczęsnych śladem,
Przeklinam ciebie bladością czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mnie prędko chmury czarnemi
Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — w aniele przeszłości.
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,

Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
Nic za mną! i nic przede mną!

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą źrenicy
Patrzyłem w przeszłość, — na ciebie.
Dziewice ziemi nieraz spostrzegły
Łzawemi oczu błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami serca, miłości
Karmiłem blade widziadła...
Ale łza taka, jak łza przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak moje oczy topią się, — mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz, smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie, szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami.
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,

Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Weytoux, d. 30 lipca 1835 r.

PRZEKLEŃSTWO.

DO * * *

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność! Bądź wiecznie przeklęta! —
Każdy mój jęk — zna ciebie, każda łza — pamięta.

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy,
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie,
I jęcząc, — z jękiem w sercu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem... Dziś samotny jestem,
Lecz wiedz, iż samotności okryty żałobą,
Oczy moje obracam za każdym szelestem,
Czekam — ale nie ciebie... Tęsknię — nie za tobą.

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi,
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli

Że już dziś sami Boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty! a ty! co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana,
O! gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złej przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

SUMIENIE.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą,
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
Jużem się od niej długiem rozdzielił jeziorem.
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzała, gdy wichry zawiewały chłodniej,
Jam jeszcze leciał — jeszcze uciekałem od niej.

I możebym zapomniał, — bo koń leciał skoro,
Bo mi targały myśli tętniące kopyta.
Gdzie ona? — oszukana — przeklęta — zabita...
Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro...
Wszak jęk tu nie doleci, wszak łez nie zobaczę...
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
Blada światłość księżyca, krok w krok za mną biegła.
Próżno się zatokami wężowemi kręcę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,

Jakby się ta kobieta do stóp moich kładła,
I niema płaczem, za mną wyciągała ręce.

RZYM.

Nagle mnie trącił płacz na pustem błoniu:
»Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem«.
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mnie wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej,
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mnie wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, — gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący bóg, — czy Rzym widziałem?..

HYMN.

Smutno mi, Boże! — dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą...
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu...
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski...
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek co zazdrości
Mogił popiołom...
Więc że mieć będę niespokojne łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień... a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandryą.

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
    Z cegieł stoją wielkie góry,
    A na cegłach leżą chmury.

I jam cierpiał i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił,
    Dziś w Nilowe fale mętne
    Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
    Że śpi teraz jak łabędzie,
    Że mu wszystko jedno wszędzie...

Łódko, łódko, dalej nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
    Tu gołębi jakby śniegu,
    Chmura ptaków, wieś na brzegu

Dalej, łódko, od tych kras!
Tu palmowy stoi las
    I gliniana chata w głębi
    Z wiankiem ciernia i gołębi.

ARAB: O! nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym

Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,
Dzieci płaczą przy tapczanie,
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać,
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

POETA: Jeśli tak, to łódko tam
Te błękitne fale łam.
Do tej chaty nieś mię, łodzi!
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Tam nieś, łódko... tam mi żyć,
Będę jęczeć, będę wyć,
Serce kąsać nadaremno,
A gołębie spać nade mną.

ARAB: Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu róże,
Rozlecą się po lazurze.

Allach! wicher będzie wiał
I przyniesie czworo skał,

I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

POETA: Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechaj śpi i wichr i ptak!
Ja nie spocznę w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat.
Dalej, łodzi!

ARAB: Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

POETA: Tam przynajmniej jedną noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

ARAB: Niedaleko!
Za tą palmą tam, nad rzeką;
Lecz go teraz kryje mgła.

Mówił tak, a łódka szła.

NA SZCZYCIE PIRAMID.

Jak dwaj czarni z białymi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztery ściany spadzistym lecące potokiem
I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różnych w koło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Zdala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżej — pustynia... złotem oświecone piaski...
Bliżej trzy drzewa, figa, pod nią .cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżej — dolina piasku, cała w równe żebra...
Wichrem zmarszczona — i Sfinks, i grobowce białe —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.

Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki,
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...
                                        I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwoną wypadków posoką;
I tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł...
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowej złożyć szacie;
Tak by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdź tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny zbawicielki,
Aby naród cały, wielki,
Tak na krzyżu, w majestacie

Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować — na dzień chwały?
— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha?
. . . .
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny,
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

(1837 r.)

DO A. M. 1.

O! tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zapruszyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym Twój nosił znak u lewej strony;

Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad nim jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej — w trumnie leży.

Październik, 1838. Florencya.

DO A. M. II.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak shańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem!
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwej piekło! niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiej w trumnę!

W ALBUMIE E. Hr. KRASIŃSKIEJ.

Chciałbym, ażeby tu wpisane słowo,
Jeśli na wieki ma słowem pozostać,

Aby słów miało nieśmiertelnych postać,
Albo posągów piękność marmurową;

Lub jak Walkhirje, co noszą nad głową
Wieniec z piorunów i we krwi szeleszczą,
Chciałbym, ażeby miało taką wieszczą
Groźbę i skrzydła i twarz piorunową.

Lecz słowo martwe. Ale wy jesteście
Jako Walkhirje z północy przybyłe:
Pod wasze stopy rzucamy niewieście
Grobowce wszystkie — a wy na mogiłę
Wstąpcie, a kto wart życia, tego wskrzeście.

Paryż, d. 29 czerwca 1841 r.

DO JOANNY BOBROWEJ.

O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady!
To tak jak ludzie przyjaciołom wierni,
Aż tambym zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn w Gisbach, a śród laurów w Terni.—

Dzikiebym zrywał na murawie kwiaty
A Pani w skałach siadłabyś myśląca
Jak anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał śpiewu — i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził,
Możebym wieczną tam zatrzymał siłą —

Śpiewem skamienił i lodem zamroził,
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Lecz nie powiodę do takiego zdroja
Bo teraz straszna jest ducha kaskada;
To cały duch mój i cała krew moja
Która na Polskę chce upaść — i spada.

Raz ty porwana tym strumieniem gminnym
Byłabyś nigdy nie wróconą światu;
Dlatego poszłaś gdzie indziej — z kim innym;
Ręki się bojąc dać dawnemu bratu.

Bo dzisiaj Polka ciekawość pokona
A jej nie karmi to, co tłum paryski.
Gdy w sercu Polska duchem urodzona
Jak Nimfa wstaje z perłowej kołyski.

Dzisiaj siedzącej, przed kaskadą w koczu
Sumienie Pani powie samo głuche...
Że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu!
A dzisiaj! oczy patrzą — takie suche!

Czyś tem przeklęta? czy błogosławiona?
Że serce zimne — oczy łez nie leją?
Powie Ci kiedyś mogił druga strona,
Gdzie serca pękną — albo się rozgrzeją.

Co do mnie — wiem ja, jak to praca pusta!
Serce kobiece na czas przeanielić!

Dlatego odtąd — wiecznie zamknę usta
I wolę nie być z Panią — niż zgon dzielić.

Bo to okropnie! rany pozamykać!
Zagoić wszystkie dawne serca blizny!
Iść — i aniołów już nie napotykać!
Już nie mieć ani serca! — ni Ojczyzny!

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
I taką Ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na Cię jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

1842 r. 14 maja.

TAK MI BOŻE DOPOMÓŻ.

Idea wiary nowa rozwinięta,
W błyśnieniu jednem zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta,
Więc niedaremnie! o! nienadaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje —
I ze mnie piorun mieć będą czerwony,

I z mego szczęścia, do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Zato spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę —
I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęsny — jak to, co pocieszę —
I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania,
Szmer kości, który na cmentarzach słychać,
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widzę wchód jeden tylko otworzony,
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony
Idę z przestrogą — kto żyw — pójdzie za mną...
Pójdzie — chociażbym wszedłszy szedł przez morze.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tych co mają wiarę...

Na reszcie trumien — ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym co idą — nie przez czarnoksięstwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje —
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok co zdobywa kraje —
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może —
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — Aniołem co wszystko przemoże,
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lipca 13 (1842).

LOS MIĘ JUŻ ŻADEN NIE MOŻE ZATRWOŻYĆ.

Los mnie już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja — żyć — cierpieć — i tworzyć
To wszystko czynię — a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie;

Dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi
I puści ducha-skowronka w otchłanie,
Pomóż-że Boże, temu skowronkowi,
Niech wesół leci — niech wysoko stanie.

A raczej powiem, — gdy się żywot zmierzcha,
Dusza-jaskółka daleko od ziemi,
Pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzcha,
Z oczkami w światło rozweselonemi.

NA USTACH MOICH.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą,
I kazał prorokować hymn wrący, szalony.

Narody ziemskie! kiedy was porażą,
Kiedy stracicie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli, co każą.

A naprzód temu, co krew waszą leje,
Przez usta, piersi i skórę i oczy,
I znużony jest zemstą i nie mdleje,

Trzy przekleństwa posyłam, i duch proroczy,
Co ma jak szatan szpony ogniste i skrzydła,
I robaczliwy ząb, co trupy toczy.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,
Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojej spoczynek był — lecz mi obrzydła;

Bowiem nie mogła wydrzeć nic grobowi,
Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
Struny na lutni tej, i nigdy więcej
Już nie obudzę ich, — bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
Wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały,
I uśpić smutne serce umiały najprędzej.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła,
Albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna, ta, co teraz woła:
O wy, co w prochu myśli mażecie i serca,
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

JEST NAJSMUTNIEJSZA GODZINA NA ZIEMI...

Jest najsmutniejsza godzina na ziemi,
Która na morzu po północy dzwoni,
Kiedy Dyana z oczyma złotemi

Świta zarankiem i wynika z toni.
W niej smętek — i ci, którzy szerokiemi
Morzami płyną, gdzie je wicher goni,
Półsenni...

Takie uczucie mojemu duchowi
Znane, bo nieraz przed czystości Panną
Stał, kiedy inni zorzami różowi
Świecili gwiazdą na morzu poranną; —
Noc, nachylona ku nowemu dniowi,
Fala, wznosząca na wiatr szybę szklanną...

DO LUDWIKI BOBRÓWNY.

Gdy na Ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki,
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą,
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprószą —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą.

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz i jeszcze dalej.

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie:
Że choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie Lolka ma oczy niebieskie.

Paryż, 13 marca 1844.

DO PASTERECZKI,

siedzącej na Druidów kamieniach w Pornic nad oceanem.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszeczko moja mała,
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siadała
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków:
Ćwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice
Jako dwa półksiężyce
Czerwoną zorzą ranną;

Ty byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecięciem —
Smutkiem i wniebowzięciem.

Włoski twoje jak zboże
Złote i przeźroczyste
Wiatr unosił na morze,
A we włoskach ogniste
Ranunkuły z doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca
Śpiąca w grobie pod nami.

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje:
Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach
Stróżka — i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach.

ANIOŁ OGNISTY.

Anioł ognisty, — mój anioł lewy
Poruszył dawną miłości strunę,
Z tobą! o! z tobą, gdzie białe mewy,
Z tobą pod śnieżną sybirską trunę,
Gdzie wiatry wyją tak jak hyeny,
Tam, gdzie ty pasiesz na grobach reny.

Z grobowca mego rosną lilije
Grób jako biała czara prześliczna, —
Światło po nocy z pod wieka bije
I dzwoni cicha dusza muzyczna.
Ty każesz światłom onym zagasnąć,
Muzykom ustać — duchowi zasnąć.

Ty sama jedna na szafir święty
Modlisz się głośno — a z twego włosa,
Jedna za drugą, jak dyamenty,
Gwiazdy modlitwy lecą w niebiosa.

KIEDY SIĘ W NIEBIE GDZIE ZEJDZIEMY SAMI...

Kiedy się w niebie gdzie zejdziemy sami,
Naprzód Cię spytam, czy jesteś bogata?
Bo ci w westchnieniach oddawałem lata,
A ty płaciłaś je pocałunkami.

A dzisiaj temi ty pewno latami
Kupujesz sobie wieczność na błękicie,
Bo w twoje życie weszło moje życie,
I najpiękniejsze sny pomiędzy snami.

Ale ty jasna błękitna królowa
To tylko musisz znosić w słońcu ducha,
Że wszędy w tobie dźwięczy pamięć słowa,
A w słowie twój duch na błękitach słucha,
W słowie jest jego piosenka i skrucha
I niby ziemskiej przeszłości połowa.

GDYBYM SIĘ NIE CZUŁ NIEŚMIERTELNYM DUCHEM.

Gdybym się nie czuł nieśmiertelnym duchem
Rozrzuciłbym świat grzechów mych wulkanem.
Ha...
Gdybym nie czuł się natury panem
A czuł naturę na woli łańcuchem,
Tobym się rzucił jak lew... na tym ścierwie
Ciał... i gryzł żywcem — i gryzł nawet trupa...
Ha?...
Moja biedna, gliniana chałupa
Gdziem żył jako wilk... a światowe czerwie
Pozwalał, że mię toczyło powoli,
Póki nie doszło aż do serca rdzeni.

Teraz ta chata, jak pałac z płomieni
Wachlarzem wodnych złocistych topoli
Od różanego księżyca zakryta
Niby dziewica... patrz, ta chata w bluszczach
Nad tem jeziorem — sama jedna w puszczach
Jak Świtezianka albo Amfitryta
Żyje... i moim duchem gra na stawy,
Staruszka, patrzaj, takie głosy roni
Jak skrzypce z starych deszczułek jabłoni.

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych:
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojem lat-bym ci przysporzył;
Wszakże gdy cię spytają, czy twój syn powraca,
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie; oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby... pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;

Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił.

BARANKI MOJE.

Baranki moje,
Zawitał czas:
Nad piękne zdroje
Powiodę was;
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mnie słucha,
Ozłocił twarz;
Bogiem promienny
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

DUSZA SIĘ MOJA ZAMYŚLA GŁĘBOKO...

Dusza się moja zamyśla głęboko
Czuje, że tu, jak słońcu zajść potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mnie w progu żywota?
Nie wiem — lecz radbym żył z polskiego chleba...

Bądźże mi lepsza, o młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
A jeszcze dzwoni echem, jak tęsknota...

Bądźże mi blizko, o matczyna, miła
Duszo, abym mógł znów ukochać ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz — rodziła.

ZACHWYCENIE.

Bo mój Stworzyciel znalazł mię na ziemi
I napadł w nocy ogniami złotemi...

Bo Pan, mówiący w objawieniu: »jestem«,
Napadł mię w ogniach z trzaskiem i szelestem.

Przetoż się, Panie, wiecznie upokorzę,
Pomnąc na ono płomieniste łoże.

Gdy Pan nade mną stał w ognia oponach,
Gdym był jak ptaszek w Pana mego szponach,

Gdy stał nade mną jak ogień straszliwy,
Kiedym się w strachu sądził już nieżywy —

Dlaczegożbym się, o Panie zapierał,
Żem drżał i cały z przestrachu umierał...

Dlaczegożbym się miał zapierać strachu,
Żem drżał jak listek w Pana mego gmachu?...

Takiej bojaźnibym nie doznał, Panie,
Choćbym się dostał pod mieczów ścinanie.

Choćbym czuł w sobie to, co ludzie święci,
Takbym nie stracił wiedzy i pamięci.

Przywalon byłem Twej lekkości skałą,
Serce jak ptaszek zlękniony latało.

Światłem zalały się moje alkierze,
A jam był porwan jako lekkie pierze.

I przez wiatr lekki i przez szelest święty
Byłem pochwycon, a z łoża nie zdjęty.

. . . .

WSPOMNIENIE PANI DE ST. MARCEL Z DOMU CHAUVEAUX.

Staruszko moja, o staruszko moja!
  Twoje mieszkanie takie wonne tobą,
Na murach jego jak z obrazów zbroja,
  A każdy obraz był jakąś osobą!
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża i bez towarzysza,
  Który niedawno ciebie odszedł stary,
Przycichłaś w domu: dziś ta sama cisza
  W domu, a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł, myślałem: twa szata szeleszcze,
  Ogień się palił, zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność, dziwne jakieś mroki,
  Nad twym kominem, nad twoją kotarą,
Jakby te duże śmiertelne obłoki,
  Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
  Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła;
  Przez krew — szły twoje panieńskie nóżeczki,
Przez smutek — starość szła twoja pochyła,
  A w trumnie leżą już tylko kosteczki.
Wszystkoś wybrała ze skarbów żywota:
Czemuż po tobie tak wielka tęsknota?

Może dlatego, że gdym twoje ściany
  Odwiedzał, dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie republikany
  I wielkich imion dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytemi głowy
Słuchając we mnie grzmiącej polskiej mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
  A ty myślałaś, że ja sobie drzymię,
Jam na mównicy stał w tych duchów gminie
  I brałem sobie między nimi imię —
Od głów zaczynał, aż do serc im sięgał
I znów na wielką'm ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krześle pod zamętem
Cicha, podobna do Park, życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem; —
Dzisiaj próchenko ciała i opłatek,
Bo miejsca duch lat dziewięćdziesiąt bronił
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dlategom ja cię czuł pod suchą kością
Dobrą, choć ludzie o złość oskarżali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością,
A ja sam takie noszę, co mnie pali,
Gdym jest wielkiemi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się, żem święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę,
Żegnajże, cicha staruszeczko moja,
A pamiętaj mi na sejmy zerwane
I poślij zgraję twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden za trumną.

14 stycznia 1846.

Z NIEMIŁOWANIA UMRZE TAK JAK Z GŁODU...

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:

Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie
I jako szermierz wystąpi zapaśnie:
Lica mu wyschną i oko zagaśnie,
Zprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie
Włożysz na czoło, ten bez żadnej pracy
W powietrzu twojem jak powietrzni ptacy
Pływa, a święte karmią go promienie.

OJCZYZNA.

Krzyczeli: »Polska! Polska!«... lecz jednego razu
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Bóg im prawo krzyku przyzna,
Szli i krzyczeli jeszcze: »Ojczyzna! Ojczyzna!« —
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka —
I przeraził je wszystkie, zapytawszy: »Jaka?«

A drugi człowiek niby w żebraka postaci
Pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci,
I wolności mu trzeba w milionów osobie,
Ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie,
A Pan w nim jako ogień i już nie nad krzakiem
Zagrzmiał: »Prosisz się, widzę, być dawnym Polakiem!«

TY GŁOS CIERPIĄCY PODNIEŚ.

Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie
Krzyknie i naraz poważnie zaśpiewa
Wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie,
Albo się ze krwią ludzką w krew przelewa.
Bo nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie,
Albo w mogiły dawnej zajrzy trzewa,
A prochom dawnym spoczynek naruszy,
Wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy.

Mów, otwórz drogi Świętemu Duchowi,
Mów, a do niebios bożych pokaż wrota;
Cały się naród z ducha niech wysłowi,
Cały o przyszłość niech się zakłopota;
Niech dusze kładą za siebie, aż nowi
Obaczą się tu, jaśni jak z pod młota
Hamerni złoto wychodzi świecące,
Jagnięta pańskie na słonecznej łące.

Stój! stój! — gdy przyjdzie w powietrzu ów święty,
Wróci raj, naszą utracony winą,
Liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty
Z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną,
Poganie ducha pójdą ze zwierzęty
Otaczać obóz ducha, lecz poginą:
Światłość je miasta świętego uderzy,
Odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.

Nie mów — leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzeszny teraz, niechaj jeszcze grzeszy,
A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas blizki, który święte z nas pocieszy,
A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści;
I będą się jak zwiędły liść sypali,
W czarne jeziora, które duch zapali.

Biada tym, które koniec znajdzie świata,
Że jeszcze ciała takie, jak my, noszą;
Biada tym, które raz przez ogień kata
Dla prawdy bożej nie przeszły z rozkoszą;
Biada tym, którzy chcą jednego lata
Owoców, a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołacą
Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą!

DO FRANCISZKA SZEMIOTHA.

Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy zarosły długimi,
Miał swoją puszczę i miał swoje bogi
I swoich duchów opiekę na ziemi.

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,

To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy
A Bóg go słuchał, tak jak morze słucha.

Dziś, z jego domu rozwalonej ściany
Na krąg kamieni gdyś trafił w młodości,
Ciekawy byłeś lecz nie zapłakany,
Nie ducha jego ciekawy — lecz kości.

Dziś, gdy cię ręka prześladowcza losu
Nad morze wiedzie, a tajemnic uczy:
W żywiołach — przodków ty nie słyszysz głosu,
Nie po litewsku tobie bałwan huczy.

Duchy twe jednak wodzą cię na pasku
I niańczą — i dziś to sprawiły rano,
Żem kląkł przed tobą i pisał na piasku
Te rzeczy, które w puszczy już wiedziano.

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży;
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiej
Będę — i u nóg ludzkich jeszcze niżej...

Ale ci wtenczas tęsknota nakaże
Po mego ducha iść w duchów krainę,
Aż — odświeconych myśli moich twarze
Ujrzysz, i piasek ten i tę godzinę.

Dieppe, w niedzielę 1846, 23 sierpnia, w dzień moich imienin.

PRZEŚWIĘTE WIĘC ŻYWOTY OPISZĘ...

Śni mi się jakaś wielka a przez wieki idąca
Powieść... niby na twarzy ogromnego miesiąca
Ludy wymalowane... krwią swoją purpurową
Idące błagać Boga i wiekuiste Słowo
Na niebiosach zjawione... O pomóż Zbawicielu
Abym te wszystkie rzeczy... do gwiazdy i do celu
Doprowadził... a ludzkim się nie zmięszał oklaskiem,
Ani łzami się zalał, ani ściemił Twoim blaskiem.

Ojczyzny nieśmiertelnej... serce wielkie niech słyszę
Ciągle w sobie bijące a na wielką się ciszę
Przygotował... że żadnych stąd oklasków nie będzie...
Chyba gdzie jakie pary... białe wodne łabędzie
Po stawach ukraińskich... albo też i nad nami,
Które są echem kraju... tych... i muzykantami
Niebios... Cecylii świętej... za życia poślubione...
Głos słysząc... złote palmy... niewidzialną koronę
Spuszczą z chmur turkusowych... i ze złotego nieba
Róż ognistych nasypią... więcej też nie potrzeba
Kaznodziei poecie...

(Niebiescy aniołowie
Rozrzucili mi głazy — zbrój miedzie i ołowie
Nawet same szkielety... rozmietli na proch sypki
Nawet wieże... i skały... Bym jako piorun szybki

Przez ducha przelatywał krainę — wszędy wnikał
I ran się Chrystusowych samym palcem dotykał).

Prześwięte więc żywoty
Opiszę... i tych jasnych duchów słonecznik złoty
Ciągle ku przejasnemu słońcu... odwracający
Oblicze... więc i wielki ów kraj teraz płaczący
Wolności... i wierzbami rozwieszony nad grobem
Zbudzę... I ojce nasze nad Zbawiciela żłobem
W gwiaździe wschodniej zjawione... ubiorę w dawne
[ciała,
Więc i Litwę — co wtenczas nad jeziormi siedziała.

A TO SIĘ PALI TYLKO SERCE MOJE.

Dajcie mi tylko jedną ziemi milę!
— Może, o bracia, za wiele zachciałem —
Dajcie mi jedną bryłę, na tej bryle
Jednego duchem wolnego i ciałem:
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
Że taki posąg dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę mniejszą od miesiąca,
Kometę złotym wiejącą szwadronem —
Niechaj po lasach będzie latająca,
A tylko święta jednym polskim zgonem:
A ja wnet siły dobędę nieznane,
Skrzydła wyrzucę i wnet na niej stanę.

O bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
A proszę Boga o kraj, o człowieka,
To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
A wróg z piorunem przed nimi ucieka:
Chcę biedz — lecz kiedy na blask gwiazd wynijdę,
Gwiazdy mnie drwiące pytają, gdzie idę?!

O gwiazdy zimne! o świata szatany!
Wasze mnie wreszcie niedowiarstwo zwali;
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali tylko serce moje!...

MÓJ KRÓL I MÓJ PAN.

Mój król i mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten, na którym trzy koron się piętrzy,
Ale duch pierwszy globu — światowładny,
Chociażby w chłopku, duch świata najświętszy;
Czy on na świecie żyw, czy gdzie nad światem? —
Wiem, że duch taki jest — i dość mi na tem.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
— Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze —
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję, klęknę i na twarz upadnę.

JEŚLI TAM BĘDZIESZ DUSZO MEGO ŁONA...

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały, pod chaty i sady, —

Jeśli tam będziesz, duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona: —
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak archanioł złoty,
A czasem miasto jak orzeł obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Powietrze lżejsze, które cię uzdrowi,
Lałem z mej piersi... mojemu krajowi...

DO LUDWIKA NORWIDA.

Wracają dla nas piękne Chrystusowe
Gwiazdy, a razem korony cierniowe;
Więc, że to ciebie, Ludwiku, zasmuca,
Że tam ktoś czapki przed tobą nie zrzuca,
A jać powiadam: niechaj cię to cieszy,
Żeś wyszedł z ludzi pospolitych rzeszy,
Gdzie dobry złego rad nazywa panem
I czci ukłonów fałszywym liczmanem.

Źli ludzie, pełni zabójczego szału,
Złości i żółci, uznali konieczność
Postawić zimną między sobą sprzeczność,
Jakoby ścianę z grubego kryształu:
A tak się widzą i czczą dla zabawki,
Jak napełnione woniami karafki,
Które na drogę kupcy zaszpuntują:
Bo tylko widzą, ale się nie czują.
Gdzie ręka ukłon przez wiatry posyła,
Jeszcze tam z dłoni w dłoń nie przejdzie siła,
Lepiejże, bracie, żeś uderzył śmiało,
A w gwiazdę się szkło rozbiło, spękało,
Bo teraz zawsze powie ci sumienie,
Które miłością będzie pozdrowienie,
A złe zobaczysz twarze niezakryte
Tych, którzy cię klną za zwierciadło zbite,
Które je dzieli, ale nie zasłania —
Stąd idą zimne bez łez pożegnania,
Śluby bez ducha — bez serca przyjaźnie,
Odwaga na świat wyjść poważny — w błaźnie,
Ta sama w podłym i w szpiegu odwaga;
Bo kto nie daje nic — mało wymaga.

CÓRKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów, między złotym kłosem

Tyś szła, owieczka, białością i losem
  Podobna owcy wśród kłosów i maków.

W tem Pluton ogniem wylatując z krzaków,
  Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
  Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła;
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
  Porwie i znowu cudownie przemieni
  W córkę świecącą kłosów i promieni,
Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świeciła
  I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
  Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła.

*

A ona bywało
Głowę mi piękną położy na ramię
  I mówi: »słyszę piosnkę doskonałą...«
Ja patrzę w oczy — i wiem że nie kłamie,
  W promiennych oczach bowiem światło grało,
Słoneczne jakieś piękne było znamie.

Patrząc w twe oczy i w księgę twych losów
  Pojąłem, czemu Pluton niegdyś chwycił
  I żądze swoje ogniste nasycił
Córką Cerery — onej bożki kłosów. —
Wieńczoną makiem, ludy cię połosów

Królową swoją piekielną uczuły.
Płacz cię nie zabił — jady nie otruły,
Ogień się nie jął twoich zimnych włosów.

Pluton cię kochał — boś mu w dom książęcy
Zarażającej miłości nie wniosła,
A nad ogień go nie kochałaś więcej...
Więc ci zaufał i użył za posła,
A matce oddał cię na sześć miesięcy,
Abyś piekielne w domu jajo — zniosła.

NIECHAJ ŻYJE Z CUDZEJ PRACY!

Biada wam, gdy się budzi duch i obudzony
Stoi świeży, krwią nową żywota czerwony;
Gdy okiem błyskawicy na wsze strony błyska
I świat do nowych wielkich lotów powoływa...
Wyście wynieśli dawne królów prochowiska
Z kościami w trumnach. Zamiast krzyczeć: Polska żywa!
Wyście krzyczeli: Niechaj żyje z cudzej pracy!
A tył wam szpilkowali ołowiem Prusacy...

KOGO Z MOGILNYCH NIE STAJE?

I wstał Anhelli z grobu, za nim wszystkie duchy:
Szaman, Eloe, cała ćma z grobów wstała,
I wszystkie brały dawno porzucone ciała.

A Sybir był zaćmiony, jakby zawieruchy
Ciemnemi i powietrze się ciągle mieszało,
I chmury szły i grady błyskały i grzmiało.
Wstaliśmy i ku Polszcze szli, a na cmentarzu
Zatrzymał Szaman oną straszną duchów zgraję,
I spytał głośno: Kogo z mogilnych nie staje?
A wszyscy byli. Straszny i zimny grabarzu
Śmierci, gdzie jest twój oścień, gdzie zwycięstwo twoje?
Wszyscyśmy byli i krwi naszej poszły zdroje.

PRZEZ FURYE JESTEM TARGAN...

Przez furye jestem targan ja, Orfeusz,
  Mówią mi, abym wyrzekł się rozumu,
A będę latał niebem — jak Perseusz,
  A piękność z wody najbielszego szumu
Przy bladym różu jutrzenki wytryśnie
  I da mi otchnąć się. — Płomieniem gorę —
Tam Parnas... coraz coś w ciemnościach błyśnie
  I tę srebrzystych oliw białą korę
Ubiera w złote pancerze. — O jędze,
  Jeśli jesteście w tym lesie czerwone
Płomieniskami... pokażcie mi przędzę
  Żywota, jeśli pasmo uprzędzione
Z łez mych — boleści — targań się samotnych,
  Epileptycznych skoków mego serca —
Blizkie już końca...

NARODU MEGO KRWIĄ PISANE CZYNY...

Narodu mego krwią pisane czyny
Słowo mi całe ubrały w rubiny,
...Polski niebieskie pokusy
Słowo mi całe ubrały w turkusy.

ZWIĄZANO WIENIEC Z RZECZY PRZEKLĘTYCH.

Związano wieniec z rzeczy przeklętych
Lamp pogaszono tysiące świętych,
Pod jeden topór ludzkość się kładzie,
Zegary wszystkie stoją na zdradzie,
Prac przenajświętszych łamie się moc:
O! wielka noc! o! wielka noc!

Czujmy — bo kur wnet zapieje trzeci
Ciemności wiecznych anioł przeleci...

SERCE MOJE SIĘ ROZTAPIA W ŚPIEWANIU.

Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają,
  Ja się budzę i wzrok do gwiazd niosę,
Kiedy kwiatki w rosie czoła maczają,
  Ja używam, Pańską pijąc rosę;
Cherubiny wtenczas rzędem stoją
  I puklerze z ognia — złotowłose
Przeciw duchom złym mają zwrócone,
  Płaszcze, tarcze, jak żelaza czerwone.

Pan mię wtenczas na rannem świtaniu
Za blademi gdzieś słucha niebiosy,
Serce moje się roztapia w śpiewaniu,
Sny ostatnie przechodzą przez włosy...

GDY NOC GŁĘBOKA WSZYSTKO UŚPI I ONIEMI...

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
Ja ku niebu podniosłszy ducha i słuchanie
Z rękami wzniesionemi — na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Podemną noc i smutek — albo sen na ziemi —
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga
I chłopek swoje woły do pługa zaprzęga,
Modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi.

Tysiące gwiazd nademną na błękitach świeci,
Czasem ta w którą oczy głęboko utopię,
Zerwie się — i do Polski jak anioł poleci;

Wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chłopie,
Że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.

ANIOŁY STOJĄ NA RODZINNYCH POLACH.

Anioły stoją na rodzinnych polach,
I chcąc powitać lecą w nasze strony —

Ludzie schyleni w nędzach i niedolach,
Cierniowemi się kłaniają korony.
Idą i szyki witają podróżne,
I o miecz proszą tak jak o jałmużnę.

Postój! o postój! hułanie czerwony,
Przez co to koń twój zapieniony skacze?
— To nic... to mojej matki grób zhańbiony,
Serce mi pęka lecz oko nie płacze.
Koń dobył iskier na grobie z marmuru,
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

DAJĘ WAM TĘ OSTATNIĄ KORONĘ PAMIĄTEK.

Daję wam tę ostatnią koronę pamiątek
I łez i dawnych moich nadziei koronę...
Dawniej myślałem rzeczy uczynić szalone,
Wami założyć nowych narodów początek,
Lecz mi teraz wystarczy mały ziemi kątek,
Gdzie w deskowej się zawrę muszli i utonę.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków
[świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

CZĘŚĆ II.

DUMA O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem,
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
    Odwiedzał proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy,
I stał przed kościołem, i kornem bił czołem,
    Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po świecie zaufał w sztylecie,
    Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę wziął sztylet kochanki;

Choć broń była żeńska, lecz stal Damasceńska,
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
O sztylet prosiła bo zabić się chciała.
»Żyj długo — bądź zdrowa dziewico stepowa,
»Twój sztylet położy mnie w grobie.

»Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
»Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,
»Bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
»Twój sztylet mieć muszę przy sobie«.

Smutnego uniosły Arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę... O Lachu!...

I nocą obaczył kraj miły rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
I marzył że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą
Posnęli — gdy błądził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu,
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu,

Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
    Gdzie błądzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
I koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,
    Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem — gdzie orzeł żył biały,
I wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
    Po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
I żłoby pozłacał — z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem, mógł uciec tym ptakiem
    Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia — więc każdy oniemiał,
I był jaby głazem, pod cara rozkazem,
    A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
    Połamał opłatek i spożył.

A potem jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stuletnim tokajem:

Żyj Polsko wiek sławy!« Wtem goniec z Warszawy
Przyleciał — zawołał: »kraj ożył!«

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne kozaki,
W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;
Gdzie słychać dział huki, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira kozaki gdy błądzą przez wrzosy,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła,
Pieśń grzmiącą »ho urra! nasz Emir!«

Do Cara pieśń doszła — wściekłością się pienił,
I głowę Emira na ruble ocenił;
Bo myślał że w kraju, z hordami Nogaju,
Czyngiskan szedł — Batt — lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
I cicho, gdy spali, pod obóz moskali,
Podkradać się — bić — i brać działa.

Więc ściągnął jak wszyscy ściągali pod Daszów,
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,

Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem,
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
Ujrzeli moskalów — straż przednią i Dońce.
Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże...

I cicho... W tem bomba śmierciami ciężarna,
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna.
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali — »O Boże!«

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,
Rozpękłe wrącemi ciskały czerepy,
I grzmiały dopokąd, piechoty czworokąt,
Nasz Emir opasał konnicą

I strasznie ją ściskał, w żelazne brał skręty.
Przedniemi nogami na bagnet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety,
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi — choć bój był rozpaczny...
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:
»Konnica na skrzydła!« — zwinęli wędzidła,
Odbiegli — ostygli w zapale.

I popłoch się wmieszał — ów co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.

Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale.

On może wśród bolów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał że dzieci zostawiał sieroty,
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła
Ma łzy a nie skargi wygnańca.

A Emir gdy ogień ucichał armatni,
Ujeżdżał z rozpaczą — choć zjeżdżał ostatni.
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczerby nić miecza
Powlekły — jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły — rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony...
»Leć prędzej po błoniu, odpoczniesz mój koniu
»Gdy w ziemi staniemy Tureckiej«.

»O koniu mój koniu gdzie twoje zalety?
Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
Czyś złaman w kul wiatrze? stój koniu — opatrzę
Czy niema gdzie kuli zdradzieckiej?«.

»Ha zdrowy!... to dobrze... lecz jechać w noc trudno«.
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony, zalegał na ziemi...

I zasnął głęboko — bo trud go osłabił...
Śpiącego od Cara najęty chłop zabił,

I sztylet dziewicy, do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącemi.

O! czemuś Emirze nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała?
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie.

GRÓB AGAMEMNONA.
UŁAMEK Z GRECKIEJ PODRÓŻY.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota
Której mi tylko echo wieczne słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płótno!
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest rapsodu końcem
Owe sykanie co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem — jak wy, o Attrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara,
I wbiegło złote — i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — Ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tententu!

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody, płynie laur różowy,
Ze łzą i z wielką błyskawicą w oku
Jakby mnie wicher gnał błyskawicowy
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
    Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju gdzie widmo nadziei
    Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej...

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
    Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
    Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
    Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
    Że serce skruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
    Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
    Potem spytali wręcz: — »Wielu was było?«
Zapomnij że jest długi wieków przedział. —
Gdyby spytali tak, — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego, i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;
Póty mieć będziesz hyenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry palącą koszulę,
A wstań jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styksowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Nie zawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida przez wężowe rózgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

DOKOŃCZENIE.

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
To ja nie klęknę, nawet przed klęczącą,
Bo ja mam inną, smutną matkę — chwałę,

Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam, co mi jest matką.

O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich
Chciałbym już posłać prochów moich urnę.
Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,
Zaklnij Dyannę i duchy pochmurne,
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

Teraz nie jestem niczem, a te mary,
Co okrążyły mnie, wzywają dalej,
I pokazują girlandy i gwary
Anielskich duchów: pójdę... krew mnie pali;
Już osądzony śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

Tyś uśmiechała się, to było wczora,
Kiedyś mię smętnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego nad śmiercią Hektora.
Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy, co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój, ach! łzy stokroć gorsze.

Żórawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moję pierś ponurą,
Zanieście z sobą, może przyszłej nocy

Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żałosny brzmiąc w krainach ducha.

Żórawie! wy co w powietrze różane
Co rano długą wzlatujecie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście jesienną moją były harfą!
Wy i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę
I będę z duchów miał wieniec podrzędny
I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.
. . . .

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał, ze sławy aniołem,
Gdzie sam leżał nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie
  Królewiczu, dowódzco korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
  Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

On przeczuwał, że przyjdzie godzina
  Co mu kamień grobowy rozkruszy,
Ale myślał, że ręka go syna
  W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze
I na ojca proch zawoła: — Ojcze!

Ale przyszli go z grobu wyciągać,
  Obce twarze zajrzały do lochu;
I zaczęli prochowi urągać,
  I zaczęli nań wołać: — Wstań prochu!
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny? —

Szumcie! szumcie więc morza lazury
  Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
  I patrzajcie nań wieków oczyma.
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara
To jest flota z popiołmi Cezara.

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda blady z poza lodów,
Orły siedzą na trumnie posępne
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów.
Orły niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

Prochu! prochu! o! leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem
Jak dziś, wielki! gdy wracasz tu niczem.

1 czerwca 1840.

POGRZEB KAPITANA MEYZNERA.

Braliśmy biedną trumnę ze szpitalu,
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;

Ani łzy jednej, pamiątki i żalu,
Ani westchnienia nad garstką popiołu!
Wczoraj — był pełny młodości i siły!
Jutro — nie będzie nawet i mogiły!

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski —
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski!
Gdyby miecz w sercu, lub zabójcza kula!
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał — śród nocnych błękitów,
Gdy Polska z grobu powstająca jękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstalnej pękła,
Gdy swój karabin przyciskał do łona,
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona?!

Dziś przyszedł do nas szpitalu odźwierny,
I przyszły wiedźmy, które trupów strzegą,
I otworzyły nam dom miłosierny,
I rzekły: »Brata poznajcie waszego! —
Czy ten sam, który z wami się po świecie
Kołatał wczora? — czy go poznajecie?«

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną;

Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedźmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden z młodszych spytał: »Gdzież go złożą?«
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
»W święconej ziemi, gdzie przez miłość bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,
W jeden ogromny dół, na trumnach trumny«.

Więc ów młodzieniec, męki czując szczere,
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: »Zaśpiewać nad nim »m i s e r e r e !«
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny...«
Umilkł, a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tem, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,
A dziś ojczyźnie jest niczem niedłużny,
Chociaż osobny ma kurhan z jałmużny.

Ale Ty, Panie, który z wysokości
Patrzysz, jak giną ojczyzny obrońce,

Prosimy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniej na śmierć naszą słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas, Panie, widzą, gdy konamy!

ODPOWIEDŹ NA PSALMY PRZYSZŁOŚCI SPIRYDYONOWI PRAWDZICKIEMU.

Podług ciebie mój szlachcicu
Cnotą naszą znieść niewolę?
Ty przemieniasz ziemską dolę,
W żywot dziecka na księżycu.
W pieśniach wołasz: »czynu! czynu!«
Czynu! czynu naród czeka:
A ty drżysz przed piersią gminu,
Drżysz, gdy błyśnie Bóg z człowieka.
Drżysz, gdy kos cię ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Drżysz gdy w marzeń mgle zaświeci
Groźna, stara twarz Kilińskich!

Nie tak, nie tak, mój szlachetny!...
Bo czyn ludu — nie piosenka —
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny;
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara

Gdzie zasługą, upaść z chmur;
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy —
Ale twardo — ale jasno
Śród narodu swego stać;
Myślą bić — chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną;
W drogę, choćby niepowrotną,
Lecz ofiarną — naprzód twarzą!
Z piersią czystą — choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą;
Z twarzą smętną — ale białą,
Chrystusową — choć zwiędniałą
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim Duchem i sztandarem,
Być na ziemi — to być w Niebie.

*

A ty Jasny jakiś Panie!
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze;
Że ktoś nakształt się proroka

Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata, chłodny,
Obejrzawszy glob z wysoka,
Swoje wiersze, gdyby cugi
Wysłał na świat, równym kłusem,
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidjusz Faetonem;
I rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

*

Honor myślom! z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska;
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludzi podesłane;
By gościńce Irydjane
Pielgrzymowi — a my od nich
Bierzem ogień i kolory
I gwiazd dolatujem wschodnich.

*

Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu —
Objawienie pełne cudu,
Myśl — jak mara niespodziana,

Z piersi naszej wychodziła
Nakształt gwiazdy, lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca;
Czasem słońce, w półobłoku
Oczom wychodziła, rosła,
Czasem lekka — na potoku
W listku róży, Sylf bez wiosła;
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana;
Wolna — jako Anioł Pana,
Silna — jako skra zapalna.

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron — sam za sobą;
Nie z promieniem — lecz z wyrazem,
Nie duch — duchem — lecz osobą...
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie wstecz kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże —
Do zbolałych serc nie wnika,
Czynu ludu niema w dłoni;
Ale w uszy formą dzwoni,

Albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową,
Nie odetchnie pierś szeroka;
Nie pomyśli — jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka:
Tylko z nędznej, starej płachty
Zamiast wieszcza — sztandar jego:
Krzyk: — *Na Boga czerwonego*
Ty — kto jesteś? Nie rżnij szlachty!

*

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem?
Możeś spotkał się z upiorem
Z całem dawnem Zaporożem?
Możeś słyszał pochód głuchy
Krzyki krwawe, krwi namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle jak duchy?
Może tobie zastąpiły
Wpoprzek twojej sennej stecki
Już nie duchy — lecz mogiły...
A tyś zląkł się? syn szlachecki!

*

Może tylko, w noc półjasną,
Jeden upior nadlatywał,

Strzały sobie z ran wyrywał,
I mgły — krwią czerwienił jasną:
Hełm rozpalił w błyskawicę,
Kurz podnosił purpurowy;
A zrąbane cztery głowy,
Niby perły zausznice,
Z twarzą nieznajomych plemion
Głowy trupie niósł u strzemion...
A ty zaraz — w ręku kord!
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to Rzeź!
Duch ten — to czerwony Mord!...
Nie mord — nie rzeź. — To z girlandy
Co leciała ponad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany
Znów — poleciał na kurhany...
— A tyś zląkł się?! syn szlachecki!

*

Skądże w tobie taka trwoga?
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz? Nie, na Boga
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!

Tylko jakieś sny czerwone,
    Zaludnione czartów gminem,
    Twych firanek karmazynem
Jak krew jasne — jak sen płone,
    Pełne, mówię, mar szkaradnych
    Bez słońc, bez gwiazd — kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię — żeś krzyknął:
    Stójmy tak! na Ojców kości! —
    I twój anioł już w przyszłości
Zabłyśnięty — jak sen zniknął.

*

Jeszcze co? — ani zamachu...
    Naród cały hasła czeka...
    A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był okropnym krzykiem strachu!...
Bo to sen, na końcu pieśni,
    Że magnaty kiedyś staną
    Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą, w sercu — w głowie —
Chatom — niby Aniołowie;
Że bunt święty rozpłomienią,
    Że świat cały od nich zgore...
    W tych magnatach serce chore,
Proch ich sercem i proch rdzenią!

*

Kiedyś ze sto was tysięcy
    Było szlachty z serc i z lica...
Dziś — jednegom znał szlachcica
    Kraj ich cały nie znał więcej...
Jeden tylko serca męką
    Zamiarami, choć nie skutkiem,
    Wielkim — cichym — dumnym smutkiem,
Pełną niegdyś darów ręką,
    Smętną — wziętą z nieszczęść sławą
    Był szlachcicem — i miał prawo...
Dziś i ten nie został z wami
    Swej godności już nie trzyma...
Marą króla — zgnił z królami
    Dziś go niema — i was niema!

*

Bądźże mi weselszej cery,
    Bo cię żywym być przymuszę...
Wygnaj z myśli Maryusze,
    Cezary i Robespiery.
Z komet, meteorów cyfer
    Czytaj przyszłość wieszczu młody.
    Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jak ta gwiazda psia — Lucyfer
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
    Z morza wytknie łeb po szyję

A zła skrzy i w oczy bije
I bezsennym się urąga;
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz łyskiem noża,
Dziecko — lub zły duch Jehowy.
Bo nam tworzysz czarną marę,
I w zrodzoną — rodzisz wiarę.

*

Ten, kto ojcu powie Rakka
Ten przeklęty... — więc się bój!
Polski lud — to Ojciec twój —
Zeń, jak z Cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć
Z wichrów uwić płaszcz i lice
I na ciebie — jak na świecę,
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć.

*

Więc się bój — bo nie ja grożę
Marny człowiek i twój brat...
Ale jakiś straszny świat,
I widzialne światła Boże
Z mocą, z wichrem i z szelestem
Rzucające się na Lud.

Strachy — które mówią: Cud!
    Ognie — które szepczą — J e s t e m!

*

Więc się bój — bo D u c h się wdziera
    Już podnosi góry, wieże.
»Słaby, mówisz, rzeź wybiera« —
    A czy wiesz, co On wybierze?...
Może ludów zatracenie —
    Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie
    W których drży król — matka roni —
    Działa, wozy, hufce, konie,
    Ogień pali — ziemia chłonie...
A nikt z ruin nie korzysta
    Jeno wszczynający ruch
    Wieczny Rewolucyonista,
Pod męką ciał — leżący D u c h!

*

Duch, — Światło, M ł o d o ś ć
    Orla i żywa
    Niebo porywa
Z Boga moc czerpie...
Nad nią — na sierpie
    Z blasków księżyca,
    Boga Rodzica

W zorzy czerwonej,
Na wywróconej
Tęczy porannej;
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W grze nieustannej
Bałwany wznosząca,
By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotemi,
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową
Piękność — z płomieniem w sercu — z gwiazdami nad [głową.

*

Wyszła! wyszła z za obłoku
Ludziom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze;
Cała w słońcach — cała w błyskach
Ludom się pokłoni,
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej.
Ujrzą ją na łąkach trzody
I smętnie zaryczą,
Zadrżą drzewa — staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą.

Gwarząc zbiorą się Włódarze
Z kosami na roli...
Bo się w światłach, w snach pokaże
Człowiek dobrej woli.

*

A tu niżej
Kilka krzyży
Płacz namiętnych;
Pierś uciszysz —
A usłyszysz
Jęki — smętnych.
Zebrzydowscy —
I Zborowscy
W czerwonych delijach;
Sny - martwice,
I dziewice
W bladych kameliach.
Chór nadchodzi,
Zda się w łodzi
O brzegi trąca.
Nad smętnemi
Lampa ziemi
Krąg miesiąca.
Zegar świata,
Ptak Piłata,
Godziny pieje.

Strach i nudnoście,
W grobach drżą koście,
Bez-duch — szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska
Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak księżyc w pełni.

*

We łzach Panie ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w Niebie,
Przez Nas czyń Twoje czyny.
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla ran naszych i zmazy.
Wspomnij! cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy
A ducha-śmy nie dali.
Nie poznaliby Ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie, nie ciśnij!
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury,
Zatrwóż! — niech wrócą — błyśnij!

W tej błyskawicy, Panie, obaczym się z daleka,
Brat pozna swego brata;
I wstanie Nieśmiertelność, jako Anioł, z człowieka.
I staniem Ludem świata.

*

W takim hymnie wieszczu stój!
Bo pieśń taka pójdzie górą
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca. — Boży strój
Do którego Bóg nagina
Wszystkie wieku tego struny
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina;
I błękitom rzuci na tła
Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wejdzie na ciał złamy;
I z Chrystusem się spotkamy
A spotkania plac — powietrze.

(1845).

ODPOWIEDŹ DRUGA.

Mój duch zawsze grzmi ponury,
Jakby dawny Jowisz jaki
Lub kataklizm śrzód natury,

Lub duch Indów — w tęczy szlaki
Rozsypany po niebiosach,
Z rojem różnych gwiazd we włosach.
Czasem twarz swą do Was zbliży,
Jakby w mglisty czas jesienny
Miesiąc krwawy i płomienny,
Przez las waszych starych krzyży,
I przygląda się ciekawie
  Waszej wierze — waszej sławie;
  Waszej szabli — i postawie.

Dziatki! dziatki... na otchłani
Wasze wielkie apostoły,
W kręgach złotych słońc porwani,
Z wzniesionemi k' słońcom czoły
Idą wyżej... do . . . .
. . . .

*
* *

Ach jakie tam lutni tętno,
Jaka ciżba, która słucha,
Jaki ciągły umizg ducha,
Ach jak smętno! ach jak smętno!

*
* *

Lecz na Boga — ty lutnisto,
Ty mój bracie — ciebie znałem

Archanioła mgłą ognistą
Owianego — i zapałem.
I myślałem i dumałem,
Śledząc gwiazd nad tobą znaki,
Skąd ty jesteś — kto ty taki?
Co nam w tobie ziemia dała,
Jaka z ciebie będzie chwała?
Jakie ty nam dusz orszaki
Przyprowadzisz — na komendzie
Twej miłosnej... latające
Powiązane jak łabędzie
Satelity twe — miesiące,
W której stronie zaszeleści
Twój chór męski i niewieści,
Z której gwiazdy odedzwoni,
Którym znakiem uzna ciebie,
Której wierze się pokłoni?

. . . .

. . . .

. . . .

Młodych śmierć nie może minąć,
Tak nam ojców mądrość gada —
Gdyby spytać, jaka rada,
Leonidas, wódz spartański,
Powiedziałbym: iść i ginąć —

Bo ja jestem Anioł Pański,
Dusze mogę wziąść na siebie —
Ziemi bryłką nie pogrzebie
Tych, co wierzą, jak ja wierzę...

(1848).

USPOKOJENIE.

Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świecących wież świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto stare;
A dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami, przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;

A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany, jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przezroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,
Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i niemi ciemną uliczkę zalęże,
Jako bronz w niej zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje;
Przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,
Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potem na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura,

Nie wiem. »Niech żyje Polska!« czyli też krzyk »hurra!«
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie: że tam się ciemni aniołowie biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój bronzowy ciska i piorun gruchoce;
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . .
A potem co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu,
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu — głucho — akordami —
Coraz głośniej: — i całą tę harmonią senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtem znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden »vivat« uliczny i »hurra!«
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata

Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;
Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiech serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiewa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem bita, z rozwahanem czołem
Prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem,
I dwa te śpiewy, już bez odpoczynku
Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.
Jeżliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niej — by słowo wyszło, to jak działo bije;
Jeżliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeżliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeżliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
Muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,

A kolumny na swoje muzykanty stroi:
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

POETA I NATCHNIENIE.

POETA

Atesso!...

ATESSA

Jestem... alem uciekała,
Bo mnie ta dziwna pieśń... w otchłanie niosła
Wszak wiesz, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znowu razem rosła.
Wszak wiesz... gdzie oliw czarny gaj i skała,
I srebrne... ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiesz... ta chata nasza bez zapory,
To falerneńskie wino... i amfory.

I w ścianach różne marmuru odłamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze...
Wszak ty pamiętasz — bywało, czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko... na Pnyksie u bramy,
Słońce... na tańca pirejskiego miecze
Wzięte... przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska...

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...

POETA

Dosyć, o duchu biały... bo mi z bolu
Znów serce pęka...

ATESSA

O! ten sen mnie ściga...

POETA

O straszny Boże burz... o ty Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga,
Dziś pomieściłeś wszystkie Akwilony
W grobach... i z mogił moich dmiesz szalony. —

ATESSA

Spokojnie, o mój kochanku...

POETA

Spokojnie!

ATESSA

Jesteś jak Nimfa echo...

POETA

Nimfa echo.

ATESSA

Ja ci mówiłam po Farsalskiej wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,

Nie uśpi... harfa, chociaż zagra strojnie,
Chociaż wesoło... nie będzie uciechą,
Że pamięć kształtów będzie w sercu brzydła,
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła.

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońca czerwonym pierścieniu,
A ja... w te śmierci otchłanie ponure...
Na moich skrzydeł tęczowych promieniu
Lecąca... jako dziś... patrz upior blady,
Ja, pierwsza... z różnych piękności Hellady.

Czemu nie patrzysz na mnie... o! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...
I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś i pięknością oblecze ramiona. —
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz, jestem ja sama wzruszona,
Oczy się moje jak szafir krysztalą,
Rany na nogach i rękach się palą...

POETA

Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztery pochodnie.
Pal się! Nie mogę żadnej dać pomocy,
Tylko to powiem, że przez krew i zbrodnie

Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie
Najpierwsze miejsce u samego Boga...
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty, aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity,
I tak, jak sztandar kulami zniszczony,
I tak, jako hełm Hektora — bez kity,
I tak, jak harfa, co straciła tony,
I tak, jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitosne wystawiony wzroki
I tak mający swój zgon, jak proroki.

Walę się w prochu. Gdzie byłaś, siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał? czy pod krzyżem
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana
Śmiałaś się?... gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie Imię obwoływał Pana,
A sam, spędzany zawsze skrzydłem chyżem
Śmierci — musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić — i znów odlatywać...

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa.

ATESSA

Przy tobie byłam; przez powietrze szare
    Snułam się cicho, jak wizya tęczowa;
Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twojem samotna... a potem
    Musiałaś z większą liczbą mar przychodzić,
Cicha — gwiazdowem uwieńczona złotem,
    Smętna, że duszy twojej rozpogodzić
Nie mogłam. Przestań już pamięci lotem
    W dalszych się wiekach twoją myślą rodzić.
Patrz, jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztery.

POETA

Nad tobą wyżej...

ATESSA

Co?

POETA

Trzy miliony

    Słońc i duch jakiś...

ATESSA

Co? posłaniec Boży?

POETA

Tam głębszy szafir — z pod słońca korony
    Na trzech obłokach niby lekkiej zorzy,

Jak jaka srebrna lampa zawieszony,
Pali się miesiąc — liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir, zda się, jak stal pryśnie,
Coś w nim od słońca jaśniejszego błyśnie.

Ach! od słońca by w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła,
Oblana słońcem złotem po warkoczu;
Taka miłości w niej ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemnem przezroczu,
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w nadświętą koronę.

Siostro! twe rany mocniej się płomienią,
A z twoich oczu wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcze mienią,
I pierś wzniesiona — i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią,
Jak powój, który kołem się oplata;
I tam zostaniesz, statui starożytnej
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnej.

ATESSA

O nie zostanę! bo w tej gwiazd powodzi
Ona się zniża i z duchami swemi
na miesiącu swym na ziemię schodzi,
Bo zapragniona jest znowu na ziemi.

Oto więc na swej półmiesięcznej łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotymi
Litosną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana...

Patrzaj na ciemne, szmaragdowe lasy,
Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętej pasy,
Które się od niej zaczęły na niebie.
Przychodzą nowe na świat Pańskie czasy;
Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty, nie maż ust światowym piołunem,
Ale tej łaski Pańskiej bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
Nie być miłości duchem, ale siły!
Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnej mogiły.
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści.

POETA

To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
Tęsknot i musi strzedz się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą,

Byłbym jak jedna z gwiazd, co się tumanią
I przez tęczowe jej rąbki migocą
I już... już własnej twarzy mieć nie mogą,
A ja tu czekam w ciemności —

ATESSA

Na kogo?

POETA

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
Żaden głos nie jest bez ech — poza światem...
Raz ja nad Ikwą po mych łąkach jasnych
Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły takim obwodzi szkarłatem,
Jaśniej się palił — i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze;

Znudzony, że mój głos tu nie pomaga
Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłej szczęścia ofiary wymaga
I ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie inna jakaś waga
Waży wypadki... człek podłością tyje
I spity winem, pieśń, co aniołowie
Dają, za pościel kładzie i wezgłowie: —

Siadłem pod chatą kobiety cmentarnej,
Co odmykała trumnom kołowroty,

I pełny byłem wtenczas myśli czarnej
    Jak Brutus, który na twarz białą cnoty
Krwią swoją rzucił. — A u gospodarnej
    Kobiety, były z malw ogromne płoty,
I z nędzą piękność tak złączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś zwrok duchowy, blady
    Przemieniał w dziwy, zda się różczką trącę,
A te malwowe z tęczy kolumnady
    Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski, to wróżce na składy
    Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świecą
I gdy kur nocny zapieje — wylecą.

Ja byłem wtenczas dziecię — lecz do gliny
    Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
    Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
    Chodzimy chętnie — niby dla podsłuchów —
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
    Zwątpienie było — rozpacz nad ubitą

Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca? — taki był mój lament,
Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A wtem od Boga.
Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczyhy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka,
Bez pierza, mały, zimny trupek, lichy;
Więc potem tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy
Prosto do gniazda, do swojego kątka
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje — Boże! z jaką wrzawą,
Wie matka, której ludzie dziecko skradli;
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
Oboje z nieba jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy niem, a skrzydła tak kładli
I tak włóczyli biedaczki za sobą
Jak magnet, ciężką okryty żałobą.

Ale oboje... Śmierć tak była świeża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą

Niebios, że ojciec matce nie dowierza, —
Owszem, przy dziobku jeszcze mu żer kładą,
Dzióbkami ciałka próbują i pierza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżej... niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuci swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc, że w niem lot roznieci
Życie, że z dzióbków puszczone poleci!

Tak połączone przez biały dyament
Stało nade mną w niebie biedne stadło.
Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a to spadło;
A oni siedli nad niem znów i lament
Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli...

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak w trup w grobie leżąc zbrzydła:

Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę... jeżeli żywa — to poleci.

Dziecinna to myśl! co... duma dziecinna!
Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos, ani też lutnia — nie winna.
Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka i królowa gminna,
Dzieciątka swoje podnosi w błękity,
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z łąk brała piękne kwiaty polne.

Cóż ty mię smucisz tym pięknym widokiem
Tęcz i błękitów? za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
Od których była już ogniem czerwona,
Ich tchem trująca, tętniąca ich krokiem.
Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź ode mnie tę marę!

ATESSA

W powietrzu widzę trzy...

POETA

Trzy przyszły razem?

ATESSA

Twój włos zjeżony operlił cię potem!

POETA

Patrz za cerkiewnym, o! tym bohomazem
Powietrze całe się wydaje złotem.
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
Albo mi lirą powiedz — albo grzmotem!
Tak zwykle gadał — gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
I zda się, twarz mi swoją w pamięć wraża.
A tamten — patrzaj, tak piękny, jak Bogi —
Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi,
Sam widać był tej harfie za stolarza —
Dziwna!... rybie w niej srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów,
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niej panna Nilów
Grała, wywiodłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
Latały słuchać, gdy jej rączki białe

W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z tej harfy girlandami tonów?

O powiedz, jakie ci sny o młodości
I o twej miłej ojczyźnie wyjęczał
Jęk tej źle z renów ostruganej kości
I tej dziewczyny głos, który wyręczał
Anioła stróża, a ty — o litości!
W oczy jej patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał.

Powiedz, czy w harfie tej dziś jest żałosny
Tego dziecięcia jęk i skarga cicha?
Czyś ty pomiędzy aniołami głośny
Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litosny
Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mnie nie prosi łzawemi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca niema!

Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

ATESSA

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją.
    Pozwól im swojej duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
    Kto wie, przez ciebie jaki glos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
    Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy, i wydarte niebu!

POETA

Czegoż odemnie oni chcą?

ATESSA

Pogrzebu.

POETA

O tak! grabarzem będę. Ten wid złoci
    Mgły mej pamięci, siostro, i twój wieniec
Z gwiazd, do ogromnych podobny stokroci,
    Dziwny ci na twarz rzuca półrumieniec;
Ty jak konwalia na ziemskiej wilgoci
    Łez, dobrze kwitniesz — a ja potępieniec,
Dobrze w natchnienia żyję dzikim wichrze
I serce wtenczas mam lepsze i cichsze.

I ja to widzę, że wola Jehowy
    Jest, aby nowy świat stanął przed świtem.
Nie pożałuję ręki ani głowy,
    Gdy przyjdzie pora. Ale pod błękitem
Gdzie jest kto świeży i zupełnie nowy,
    By świat od razu jednym zbił granitem?
Duchy, co duchów oszukują, złe są.
Z błękitów do mnie, Atesso! Atesso!

Świadcz o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
    W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
    Fałsz, co źrenice światłami tumanił?...
Nigdy na Boży głos nie była sucha
    Źrenica moja, choć mnie Bóg oszklanił
W koło... jak ludzi oddziela fatalnych
Od ludzi — światem rzeczy niewidzialnych.

Teraz już serce moje pełne śniegu,
    Który tam zima uczuć napruszyła;
A przyjacioły moje już do biegu
    Świat Boży pędzą, jest w nich Bóg i siła.
Może też Bóg chciał, aby w tym szeregu
    Z ludźmi żywymi ma jedna mogiła
Raziła dziwem takiego sąsiedztwa
Nie dla pośpiechu, ale dla świadectwa.

I dla przestrachu... I tak się do ruchu
Wiąże girlanda wiosennych żórawi.
W kraju tam jeszcze o tem ani słuchu,
A tu już, ducha krwią naszego krwawi,
Serce przy sercu stoim, duch przy duchu;
Bóg rozkwitnieniem w nas serc błogosławi;
Janowych widzeń ozłaca zapałem,
Chrystus krwią poi i nakarmia ciałem.

I już nam widać przez oczy proroka,
Jak Polska nowa na stolicy siada,
Kopułą duchów swych świętych wysoka,
A nizka, kiedy przed Panem upada;
A kiedy patrzy w świat, orlego oka;
A jako tysiąc harf, gdy z Panem gada,
Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem,
A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem.

O daruj Panie!... tej wielkiej pustyni,
Co się w marmury i w Twój krzyż ubrała;
Jednego wieszcza mię rym śmielszym czyni,
Że tego wiary katolickiej ciała
Dotknę się... Ślimak, który kwiaty ślini,
Tak ich nie brzydzi, jako ta zuchwała,
Fałszywa dawna po Cezarach wdowa,
Kościół, — bez Ducha Bożego i słowa.

Mój Ukraińcu! nie wołaj tam Jana,
    Niech śpi pod swoją lipą czarnoleską,
Cóż jego biedna lutnia — siostra dzbana,
    Pod tą kopułą złotą, pod niebieską,
Troska w niej życia jest poprzeczuwana,
    Lecz ta, co leży pod trumnianą deską
Dziś błyskawicą rozdarta północną
Nigdy mu głowy nie zajęła mocno.

Innego trzeba w Rzymie przewodnika,
    I ten już idzie, duch prawdy i wiary.
Tego weź, niech ci kościoły odmyka,
    Niech Sobieskiego potrzęsie sztandary,
A z tego pyłu niech oczy lirnika
    Tworzą chodzące po kościołach mary.

Precz z niemi — nudzą mego ducha, łamią,
    Ten swój sybirski instrument przynosi,
A dziś muzycy tak na strunach kłamią
    Czucie, — że serce pęka — łza cię rosi,
A oni, jako stawy zaszłe szlamią,
    Przez nerwy sączą żółtą krew. Kto głosi
Że pieśnią do łez poruszy słuchaczy,
Ten musiał wprzódy zwaryować z rozpaczy.

Nie tak, pamiętasz, my... Najokropniejsze
    Godziny nasze przeszły w takiej ciszy...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

A oto wyszedł, — jakby Rafaela
    Tarcza, okryta różnem malowaniem,
Księżyc i zagrał pierwszą pieśń wesela,
    Wyszedłszy świecić przed samem zaraniem,
A z niego wielki miecz płomienny strzela,
    Nazwany w niebie niebieskiem nazwaniem,
Przed którym zadrży i fałsz i pokusa,
Lecz nikt nie dźwignie miecza — prócz Chrystusa!

On na nim ręce skrwawione położy,
    Potem podniesie i trzy razy mieczem
Niebiosa całe rozetnie, otworzy;
    Wtenczas my duchy pod gwiazdy ucieczem,
Bo z nieba wyjdzie na ziemię duch Boży;
    A my z tej ziemi mgły i chmury zwleczem,
By się spotkała jej twarz z Bożą twarzą,
Wtenczas się słońce i gwiazdy przerażą.

Świętych zobaczysz Pańskich w jednej stronie
    Podobnych chmurze słonecznej, — Marya
Stać będzie w słońcu, na złotem wrzecionie
    Kręcąc, jako ta, która tęczę zwija;

A po tych tęczach aniołowe konie
Będą latały — a szatan jak żmija
Będzie je straszył wielkim dymu kłębem
I językowym je zhuka trójzębem.

Potem to wszystko razem się zasunie
Mgłą... i by lampa zgaszona zagaśnie;
I tam na ziemię po nocy coś runie
I echa niebios tak zajęczą właśnie,
Jak kiedy piorun idzie po piorunie
A potem zagra po skałach i zaśnie;
I znów się zwali coś z odgłosem strzału
Smętniej, jak echo pierwszego powału.

Wtenczas na niebie wyjdzie anioł blady
Z lampą olejem napełnioną smolnym
I rzeknie: »Gdzie są ciał i kości składy,
Abym je palił lampy ogniem wolnym?«
To mówiąc, pójdzie i różne gromady
Trupów oświetli, i ogniem okolnym
Lampy, stosy ciał będzie oczerwieniał
A ciągle idąc, strach i miejsce zmieniał.

Miejsce, gdzie przejdzie, będzie zwane *drogą*
Poszukiwania, nakształt czarnej szramy.
A idąc anioł ów nadepce nogą
Grób — i wykrzyknie: »Rola halcedamy!

Tutaj się ludzie nassać duchem mogą.
    Ale zamknięte są już srebrne bramy
I dzień tu biały powróci nieskoro!«
To mówiąc, lampę rzuci w krwi jezioro.

I znów się stanie noc i z końców obu
    Świata płacz wielki pójdzie, jak z bóżnicy.
Potem aniołki od świętego żłobu,
    Jak białe róże od Bogurodzicy.
Sypiąc się, rzekną: »Czas ci wstawać z grobu!
    Wstań bez korony złotej i zbroicy,
Płomieniem serca świecąca od łona,
Wstań, jakąś była w grobie położona«.

A wtenczas mgła się ze słońca usunie;
    I ta, co była w słońcu, znów odkryta
Rzeknie: wy słońce w jej znajdziecie trunie
    I stratowany miesiąc przez kopyta.
Niech tak na zorzy pokaże się łunie
    Piękna, jak piękna leżała zabita!
Albowiem szaty nie zdarła nikomu.
Nie okradajcież wy umarłych domu.

Lecz nim powstanie... niech z niej będzie zdjęty
    Sąd, bo zaprawdę niewinnie sądzona.
To mówiąc, przyjdzie jeden anioł święty
    I poda księgę... i jedna czerwona

Karta w tej księdze... jako liść pomięty,
Mokra... wydarta będzie i rzucona
W czeluść... a duchy, co tam chór prowadzą,
Lecącej... aby spadła — miejsce dadzą...

Potem umarłej będzie podniesienie
I salutacya — a ta w takiej sile
Roześle pierwsze pośmiertne promienie,
Że na ostatniej aż smętnej mogile
Końce położą. — Więc ducha nasienie
Wszędzie się ruszy śpiące w wieków pyle,
Zaprawdę — przyjdzie do niej z wielką chwałą
Choć dziecię — co jej jasełka oddało.

Potem się w pierwsze bicie serca wsłucha
I rzeknie z świętym uśmiechem: »O Panie!
Nie z ciała jestem wskrzeszona, lecz z ducha,
Niech mi się jako służebnicy stanie!...

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Tak nieraz stojąc stary majster cechu
Z chorągwi jednej sklepienie uczyni
Dla trzystu ludzi — albo gdy na blechu
Rozciągnie płótno dobra gospodyni;

Tysiące kwiatów nie widzi uśmiechu
Słońca i oczu Efeskiej bogini,
Ale się muszą poddać — z tą nadzieją,
Że płótna wkrótce słońcem wysrebrnieją.

I będą zdjęte. — Jestem z liczby kwiatów
Podobrusowych, często słyszę ślepy
Nademną jakieś kruszenie się światów,
Szczepienie duchów nowych w stare szczepy,
Pszczelny brzęk niby naszych antenatów,
Idących pomódz. — Lecz że ja do rzepy
Płonącą świeczkę włożę, pisząc wiersze,
Nie widzę, abym widział światy szersze.

ATESSA

Zawszeż ta bojaźń o nabyte skarby
Pracami wieków? zawszeż nieugięcie
Twojej tęczowej myśli w żadne karby?
Zawszeż ci błoto cielesne na wstręcie?
Gdybyś mógł stopić wszystkie twoje farby
W jednym miłości Bożej dyamencie
I zostać chwilę w czystym bezkolorze,
Miałbyś zeń potem wszystkie ognie Boże.

Przedlotem ducha światy byś wyminął,
Wiedział o niebie, nim się inny dowie.
Mrówko! nie będziesz ty przeze mnie słynął.
Ja ci się strzaskam jak piorun na głowie;

Ja, z którąś dawniej ty jak łabędź płynął,
Kiedyś był nowy i sił nie miał w słowie.
Teraz, gdyś wylał ducha serca krzykiem,
Mam cię, niższego, moim niewolnikiem.

Nie drżyj mi jako struna, co chce pęknąć,
Bo mi nie pękniesz, lecz będziesz jak struna,
Która gdy rani, to krwią musi zmięknąć —
Lecz tobie strachu trzeba... Patrz, tam łuna
I księżyc, co chce jak umarły jęknąć,
Taki boleśny!... tam morze i truna,
Którą prowadzą fal czerwonych nogi —
Patrzaj!... w trumnie ten, co prostował drogi.

Czy widzisz żagli tych trumnianych bicie
W opiekielnione złymi duchy fale?
Bo się na siarkę wy bez fal palicie,
A piekło nie jest w niebie, ani w skale;
Lecz jest to duchów do ziemi przybicie,
I krzyż — i po ciał władzy gorzkie żale,
I czas powrotu do ciał niewiadomy,
I czyn, co w piersiach grzmi, jak puste gromy.

Czasem się zbiją i prą całą ścianą
Naturę — a ich oddech mniej tu waży,
Niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
Uczyni tchnieniem aniołkowej twarzy.

Rozpacz im dano, a skargi nie dano!
W niejednym... wulkan się miłostek żarzy...
Gdyby im kształtów widnych i kolorów:
Wymarlibyście z widzenia upiorów!

Szczęściem, że każdy niby śmierć ponosi,
Gdy wchodzi w ciało; i uczyć się musi
Siły — od ręki, co kamień podnosi,
Bólu — od świecy, co rączkę mu skusi.
Więcej się złego obraca na osi
I siły, która iskrę Bożą dusi,
Niźli ty myślisz. — Patrz, czy nie przeraża
W tej zorzy duchów ta trumna mocarza?...

POETA

To jak kolenda, którą w domu dziada
Słyszałem! Idą pasterze! pasterze!

ATESSA

Patrzaj, znów jasna na stolicy siada
I od Łotyszów dawny piorun bierze,
A drugi jej grom zdala odpowiada,
To Rzym... to klątwa... to straszne przymierze
Z trupami... łączcie prawice do prawic,
O ducha teraz, Boże! — i błyskawic!

POETA

Straszna, milcząca, powiedz?... Więcem nie miał
Grzechu, bijąc ten fałsz w Chrystusa słowie

Co siły Bożej nie pił i nie wzięmiał
I z świątyń Pańskich uczynił pustkowie,
A w zmartwychwstania dzień wielki oniemiał
Jak człowiek, co wie prawdę, lecz nie powie,
I tak się chował pod wypadków połę
Jak chłop, co w piekle myśli wozić smołę.

ATESSA

Tak jest zaprawdę, jakeś odmalował.
Błyskawicami bity gmach był dawno,
Dante, Bokacy... i ten, co wychował
Kopernikową sierotę i sławną
Nogą odpowiedź na wieki wykował,
Głowy schyliwszy przed powagą prawną,
I wielu innych. Ty, co w kościół wierzysz
Jak oni — bijąc go — do nich należysz.

Od czasu, jako zaprzestał soborów
I gwałt uczynił duchowi w tej przerwie,
Sobory były ze słońc i kolorów,
Tam gdzie najczęściej przy męczeńskim ścierwie,
Pod szubienicą z kruków i upiorów
Była girlanda. Teraz wiatr się zerwie,
Który kolumny kościoła okręci
Te wszystkie — których nie podparli święci,

I zniszczy... Oto wielkie rozwidnienie
Ducha rozlewa się. O Jeruzalem,

Ubrana w żywe błękitu promienie
Schodzi... a mur jej perłą — wał koralem.
Pierwszy duch, który słońce zrobił cieniem
Dla ziemi — a tę dla słońca opalem,
Już urodzony... chór na ziemi zbiera,
Czuje go kamień i morze i sfera.

Biedni to teraz; widzę ich jak stoją,
O swej ojczyźnie zadumani, w bieli
O swej ojczyźnie tylko ziemskiej roją
A przez nią będą tylko tak lecieli
Jako żórawie, co słońce rozdwoją
Girlandą długą... i gdzieś w mglistej bieli
Znikają, — dziecko zniknieniem zasmucą,
Ale chłop stary wie, że z wiosną wrócą.

. . . .

Więc, żem ja dobrze służył słowu Pana,
Kiedym się wzdrygał na tej lutni głosy,
Co jak ptaszyna, lotem zmordowana,
Siada... probuje siąść na wszystkie kłosy,
I znowu pierzcha, więc tu jedna ściana
Wiary, na której tyle jasnej rosy
Tęczowej leli malarze, już runie...
Pozwól mi myśleć jeszcze o tej trunie...

. . . .

. . . .

DO LUDWIKA NORWIDA
W BRATERSTWIE IDEI ŚWIĘTEJ.

1.

Bracie Ludwiku, módl się gorąco,
A podnieś ducha wysoko;
Na trzeźwe myśli, na czyste oko
Witajmy prawdę świecącą:
Podwoje wiedzy już otworzyła,
Z miesięcznej wyszła topieli,
Już jest na ziemi, już się zjawiła,
Myśmy ją pierwsi ujrzeli!

Świat nam duchowy stanął otworem,
Widzim skąd moce te biegą,
Które tu snem są albo upiorem,
Lub ogniem Ducha Świętego.
Widzim, i cali drżym przerażeni,
Gdy nam widzenie ukaże
Powietrze puste, pełne płomieni,
W szkłach wichru lecące twarze.

A cóż, gdy duchy, które przed Panem
Są prawie niczem i ciszą,
Tu nam wybuchną z pod gór wulkanem,
Albo miastami kołyszą,
Cóż, gdy te burze, któremi szklanna
Otchłań się morza porusza,

My widzim w duchu — krzyczmy: Hosanna!
Hosanna! żyje już dusza!

II.

Nad wszystkie świata wzleciał szatany
Ocknięty, ze łzą u powiek,
Jeden w ojczyźnie rozmiłowany,
Cierpiący nędzarz i człowiek.
I trwa na skrzydłach swoich cierpliwie,
Słysząc sąd o globach nocnych,
Które karane są sprawiedliwie,
Bo są dziełem nas — duchów wszechmocnych.

III.

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
Dotąd cielesnych czynów bezowocność
Wyżarła ducha stodoły,
Świat był bez plonu — lecz teraz manna
Nową przywraca mu dzielność:
Wszechmocność i Nieśmiertelność!
Hosanna Panu! Hosanna!
Przez nie świat uwiązany do girlandy globów,
Które czas zachwyceniem miłości pożarły;
Przez nie słońca nie umarły,
Przez nie już nie będzie grobów,

Ciało nie uzna skażenia,
Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia.

IV.

A ty rozrzuć twoją glinę,
Nieszczęsna formo człowieka!
Już zamieniasz się w ruinę...
Próżno cię piękności twoje,
Jak pasożytne powoje,
Próżno cię mgła cudowną szatą przyobleka;
Próżno cię ręka przychylna
Stroi — stoisz ty żałobna,
Niedołężna, zamogilna —
A choćbyś była podobna
Jowiszowi z brwią zmarszczoną,
Mgłami idejskiemi srebrna,
Nakryta gromów koroną —
Próżno! jużeś niepotrzebna —
Już do piękności zjawionych
Nie wejdziesz na eter lżejszy,
Bo najmniejszy z odrodzonych
Świętszy niż ty — i piękniejszy!

V.

Lecz w jakimże biednym żłobie
Położym, o mój Ludwiku,

To dzieciąteczko na grobie,
Na Ojczyzny mogilniku
Zrodzone? Czy go nam ptacy
Wykarmią? Czy jeszcze łzy nasze?
Ileż wieków, ile pracy
I starań Bóg nam poruczy?
Kto je tęczami opasze?
Wyniańczy — chodzić nauczy?
Kto poda mądrości czaszę?
Kto mu będzie pierwszym sługą,
Ojcem — kto otworzy ręce?
Jak długo jeszcze, jak długo
Popędy świata zwierzęce
Zepchną glob na dawne tory,
Iść nie pozwolą za blaskiem?
Jak długo krwią okryte na świecie aktory
Będą witane oklaskiem!

VI.

Do pracy! a więc do pracy!
Wy co mi jesteście bracią,
Duchy słoneczne, Polacy!
Najwyższą was inkantacyą,
Najwyższą — własnym aniołem —
Na nieśmiertelność zakląłem.
Oto miesiąc wschodzi blady

Nad Polską — cały już nowy,
Jak dawna lampa Hellady,
Jak obraz Rafaelowy
Piękny i srebrnego łona —
W nim piękność stoi wsławiona,
Kolor wzięty — ton zdobyty.
Teraz co? Dalej w błękity
Pracować na całą wieczność...
Otwarta dla duchów droga —
Skrzydła mamy — dalej w Boga!
Po dar ostatni — Słoneczność.

VII.

Bo patrzcie! tak jak orlice,
Patrzcie na dolinę z góry:
Oto są dzieciątek chmury,
Oto są globu dziedzice,
Każdy za bańką formy, która oczy mami,
Ozwierciadlona form wizerunkami,
Leci z pradziadem i dziatwą,
Głupi i śmieszny na poły...
O jak łatwo! o jak łatwo
Wam, co jesteście anioły,
Zarządzić tą gromadą, ich ruchem, pośpiechem,
Zdjąć im ich ciężar ze skroni!...
Miecza na to nie potrzeba,

Ani piekła ani nieba;
Miłością dosyć — uśmiechem. —
Patrzcie tylko, jacy oni!
Patrzcie tylko, co je bawi!
Patrzcie, jacy są ciekawi!
Jak patrzą w każdą foremkę,
W każdą jamę oczy włożą,
Każdy proszek biorą w rękę,
Ważą — próbują, czy stworzą;
Cieszą się, że piorun pali,
Że gwiazda na czas przychodzi,
Patrzcie — starzy już i młodzi
Krzyczą, że wszystko poznali!
Wyschły im wiedzy strumienie...
O anioły! o anioły!
Czyńcie sobie z nich wesoły
Śmiech — i pozwólcie czoła stroić w zamyślenie.

VIII.

Lecz wy! wam wszystko nowe rozkwita,
Jaśni się forma na świecie,
Świat szuka, a wy już w i e c i e.
Wam . . . .
. . . .
Wam się już listek różany
Tłómaczył z nauki słowa.

Wam już oto noc majowa,
Przez owadów święte Jany
Muszeczki swe jakieś złote,
Apokalipsy śpiewała.
We wszystkiem już myśli chwała,
Zasługa świeci lub wina,
Grzech widać ducha lub cnotę.
Wam, oto, stoi cytryna
Na strzałki słoneczne, złote,
Jak rycerz przed prochu przyjściem,
Odstrzelająca się liściem,
Kiedy ją Febus obarcza...
A kolor — a światło — a tarcza?
    Na to woli błyskawica,
    Na to wam myśli kuźnica,
Wulkan duch w globie wystarcza.
A wy w nieśmiertelne końce
Idźcie, a duch je wam kreśli...
Czy kształt? to go macie w myśli,
Czy światło — to w duchu — już słońce.

IX.

Do Boga ręce podnieśmy,
Język rozwiązujmy niemy.
Synowie Boży jesteśmy!
Czem jutro jeszcze nie wiemy...

Każdy silny, o pół kroka
Ku Bogu świat pchnąć dzisiejszy,
A jutro jeszcze silniejszy! —
Każdy jak przepaść głęboka
Zamiarów pełna gorących,
Przepaści i uwidomień...
O Boże, któż zerwie płomień
Na hełmie pierwo-idących?
Kto tarcze postawi rzędem?
Kto drogę założy dzidą?
Kto strąci? — Duchy w nas idą
Z nieśmiertelności rozpędem.
Dlatego, żeśmy Jehowę
Przywołali na ołtarze,
Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze;
A gdy go wiatr odwinie, to tak jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego —
Przestrachem — Boga-upiora.

X.

Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,

Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś, bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział głupi kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał.

Dnia 8 lutego 1848.

CZĘŚĆ III.

KORDYAN (I. 1.).

Otom ja sam, jak drzewo zwarzone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć, zwiędnienie; głosem uczuć, szumy
Bez harmonii wyrazów... Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli, jaką myśl wielką zapali...
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj...
Jedną myśl wielką rozniećć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem,
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

(III. 4).

O gdyby lutni! jabym was poruszył śpiewem;
Gdyby historyi księga, przeczytałbym kartę

O Polsce, kiedy była kwitnąca, szczęśliwa,
A wstalibyście wszyscy jak groby otwarte
Rzucające mścicieli... Mnie zapał rozrywa,
Zdaje mi się, że piersi otworzył na poły,
Że powinniście widzieć czyste serce moje...
Nie przyszedłem was błąkać jak ciemne anioły,
Ani się waham myślą przecięty na dwoje,
Jestem cały i jeden... A gdy kraj ocalę,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem,
Ja się w chwili ofiarnej jak kadzidło spalę!
Imienia nie zostawię po ciele spalonem,
Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie! próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne
Pochwałą, a zapłacą tylko zapomnieniem.
Nic! nic po mnie!... lecz imię ON, i tem imieniem
Piastunki na królewskie dzieci będą swarzyć,
Królątka zaczną płakać i nocami marzyć
O bezimiennym duchu, co zrywa korony
Dla was życie, kraina wolna, dla was trony;
Ja wszystko skończę z chwilą ogromną odrodu.
Lecz dajcie mi się w ręce; zamiast trzymać berło,
Niechaj piastuję siłę olbrzymią narodu!
A koronę Jehowy przyozdobię perłą
Ludu zmartwychwstałego... Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce,
Póki długiej wolności nie zaszczepię wieki,

Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża.
Lękacie się? więc weźcie, przybijcie do krzyża,
Niech mam jako Regulus obcięte powieki,
Niechaj wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący,
Potem nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący
Nie zgubi was... Przysięgam na Ojcowskie cienie!

PODRÓŻ NA WSCHÓD.

(I. 43—49).

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!...
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy

Gwiazda niknąca, blady; lub z obliczem
Pełnem promieni Boskich... albo niczem.

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krąg tonącego słońca skrawo biały;

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać;

Jeśli i Boga nie zwiodła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,
Krwią poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata
Uciekająca na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

To mojej duszy, dobytej z popiołów,
Da wiele ciszy — i na jaką bladą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną.

(IV. 8 – 15).

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

I myśleć wtenczas! O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonic
Błyska... modlę się... lecz nie proszę o nic.

Miło być także na morzu, ozłotnem
Błyskawicami i białym ognikiem;
Miło być także dumnym i samotnym,
I niedzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni —
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiem morzu falą wahanemu;
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonej czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabskiego krwawy.

Za tymi gwiazdy wychodzi Dyanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnej razem staje się zielona
Jak listek, potem czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:
Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy na smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niej.

POEMA PIASTA DANTYSZKA herbu LELIWA O PIEKLE.

1. Kto pałasz kocha i ojczyznę kocha?
Choćby się palił dla niej przez dwa wieki,
I gdzieś jak żóraw odleciał daleki,
I gdzieś przez lat sto więdniał od rozpaczy;
To jak swą szablę i swój kraj zobaczy,
To jak usłyszy, że krzyczą do broni:
Przed Panem Bogiem się tylko ukłoni,
A potem ludziom odpowie na hasło,
Że miecz nie ściemniał i serce nie zgasło.

---

2. O! Polsko! Polsko! Święta! Bogobojna!
Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać jak łabędzie senne;
Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz co płacze i piorun co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta;
A nie zapomnisz ty o nas, o Święta!

Skromny pokój szlachecki w domu Horsztyńskiego. KSIĄDZ KAPUCYN *i* HORSZTYŃSKI.

HORSZTYŃSKI

To powiadasz, że moja szkółka owocowa dobrze podrosła?

KSIĄDZ

Renety i bery szare już kwitną.

HORSZTYŃSKI

Jesienią, mości księże, będziemy z sobą dzielić czerwone jabłuszka.

KSIĄDZ

Jeśli Bóg da doczekać.

HORSZTYŃSKI

Tak, jeśli Bóg da doczekać! Czy nie widziałeś gdzie Salusi?

KSIĄDZ

Żona twoja chodzi sama jedna po lipowej alei.

HORSZTYŃSKI

Księże, straciłem oczy i widzieć nie mogę jej anielskiej twarzy. Czy ona zawsze taka piękna, jak była?

KSIĄDZ

Zdaje mi się, że zawsze piękna.

HORSZTYŃSKI

Ale nie tak wesoła, jak niegdyś...

KSIĄDZ

Dosyć zawsze wesoła. — Czy chcesz, Panie Horsztyński, to ci przeczytam jaki rozdział z pamiętników Janczara.

HORSZTYŃSKI

Dziękuję, księże... już późno. Słuchaj, zdaje mi się, że żona moja nie tak wesoła, jak dawniej...

Chwila długa milczenia.

KSIĄDZ

Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

HORSZTYŃSKI

Nie mów mi o tem, księże. —

KSIĄDZ

A gdyby też Wilno powstało...

HORSZTYŃSKI

To mu gromnicami wykapią oczy.

KSIĄDZ

Może się uda...

HORSZTYŃSKI

Księże, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojej szkółki — a spodziewasz się

owoców na spróchniałem drzewie!... Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

KSIĄDZ

Młody hrabia.

HORSZTYŃSKI

Dobrze, pogawędzimy sobie.

KSIĄDZ

Lubisz tego młodzieńca?

HORSZTYŃSKI

Głos jego przypomina mi... Potem ci powiem, księże, dlaczego lubię dźwięk głosu Szczęsnego... Jutro będę się komunikował.

KSIĄDZ

Ten młodzieniec jest wielkim, ale niedokończonym tworem Opatrzności...

SZCZĘSNY *wchodząc*

Witam cię, Panie Horsztyński! Jak się miewasz, ojcze Prokopie?

HORSZTYŃSKI

Siadaj, mój sowizdrzale! Cóż? nic nie przynosisz nowego?

SZCZĘSNY

Nic.

HORSZTYŃSKI

Powiedz mi, jakże tak żyć na świecie, nie wiedząc o niczem?

SZCZĘSNY

Tak, jakgdybym spytał ciebie, Panie Horsztyński, jak ty żyjesz, nie patrząc na nic?

KSIĄDZ

Młodzieńcze! źle, że przypominasz kalectwo...

SZCZĘSNY

Przez zazdrość — przez zazdrość...

HORSZTYŃSKI

Widzisz, księże, że mi ktoś jeszcze na świecie zazdrości.

SZCZĘSNY

Ten, komu wypalano gromnicami wielkości oczy rozumu — oczy nadziei... który w krainie myśli błądzi jak ślepy... Ty musisz mieć piękne, słońcem oświecone wspomnienia, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI

Tak, mam miłe wspomnienie... Raz koło Baru, na wielkiem polu, przychodziło do walki z Drewiczem. Piękny był ranek — tak cicho. Skowronki tylko śpiewały — na prawo był lasek brzozowy — za nami,

Wchodzi SALOMEA *i staje cicho — Szczęsny słucha starca i oczy ma zakryte dłonią.*

HORSZTYŃSKI *mówi dalej.*

Mości panie, było miasteczko z blaszanemi wieżami. Dowodziłem całą jazdą... Marsz, marsz!... Pomyślałem sobie, co teraz robi moja żona?... Spojrzałem na zegarek, bo jeszcze miałem oczy, na zegarku była piąta godzina... Ha! żona moja śpi, spokojna jak dziecko, ani wie, że tu jej stary mąż, jak młody chłopiec, z rozwianymi włosami, z dobytym pałaszem krzyczy: marsz! marsz!... Myślałem, że zginę, a żona moja będzie spała spokojnie w godzinę śmierci mojej... Było mi smutnie i miło... Ha! jeszcze mi wtenczas przyszło do głowy jakieś dziwne zachcenie; chciałem był mieć przy sobie białego gołębia z mojej wioski. Nie, nie! to po wygranej bójce, kiedy odpoczywałem w lasku brzozowym, przyszło mi takie zachcenie, żeby to wysłać gołąbka z listkiem, ołówkiem napisać — buzi, moja Sally!... Mości panie, zbiliśmy wtenczas dwa kara bataliony na miazgę...

SZCZĘSNY

Muszę ciebie pożegnać, Panie Horsztyński. Przypomniałem sobie, że mnie w domu czekają dwa kara bataliony przyjaciół z szampanem.

Wstaje i spotyka się z Salomeą.

Ha! Pani...

HORSZTYŃSKI

Co? żona moja słyszała?... Jak ty cicho weszłaś moja Salusiu... będziesz się śmiała z męża gaduły, co chciał wysłać gołąbka...

KSIĄDZ

Jak ona zbladła.

SALOMEA

Nigdy mi o tem nie opowiadałeś, mój mężu.

HORSZTYŃSKI

A kiedy, a kiedy... Słuchajcie mnie, bo i to wspomnienie nie może zawsze leżeć w sercu mojem... Kiedy mię wzięto w niewolę... wieczorem, wieczorem to było... dwóch Moskalów prowadziło mię do kaplicy — pamiętam... cmentarz cały ocieniony lipami... na cmentarzu — okropnie!... dwudziestu moich żołnierzy zakopanych w mogiłach po szyję. Moskale kosili głowy... skoszone głowy toczyły się czasem pod moje nogi... Jedna spojrzała na mnie, przysięgam wam, że spojrzała na mnie!... A pod wielką lipą ujrzałem jakiegoś białego człowieka... nagi — stary. — Na piersiach miał wycięte mieczem wyłogi — w ciele wycięte wyłogi ułańskiego munduru. Spojrzał na mnie i rzekł: — Żegnaj mi Panie Horsztyński. Nic mu nie odpowiedziałem. Bóg mię skarze w godzinę śmierci mojej za to, że nic nie od-

powiedziałem temu człowiekowi w godzinę męki... Ale bo też ja nie mogłem rozpłakać się jak dziecko. — Był to Grzegorz, stary rybak z poblizkiej wioski. Musiałeś go znać, Panie Szczęsny? to twój chłop...

SZCZĘSNY

Rybak... Grzegorz...

KSIĄDZ

Co tobie, młodzieńcze?...

HORSZTYŃSKI

Bądź tam dobry dla jego dzieci!... jeżeli ma dzieci.

SZCZĘSNY

Rybak... Grzegorz...

HORSZTYŃSKI

Wszak musisz wiedzieć, jego chata naprzeciw pałacu, na drugim brzegu Wilii; musisz wiedzieć... czy on ma dzieci?...

SZCZĘSNY

Ma córkę.

HORSZTYŃSKI

Czy hoża dziewczyna?... wydaj ją za mąż, dam ze sto złotych na krówkę.

SZCZĘSNY

Powiedz mi, Panie Horsztyński, jakiego uczucia doznawałeś, kiedy ci gromnicami oczy wysmalano?

HORSZTYŃSKI

Zrazu ból wielki — potem niby kłucie szpilek. A kiedy zdzierano z rzęsami skorupę zastygłego wosku, aby... Czy żona moja jest w pokoju?...

KSIĄDZ

Niech kobieta wycierpi duchem, co inni wycierpieli ciałem! Mów, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI

Wy, księża, zawsze chcecie, aby ludzie cierpieli dla niczego; dosyć, niech umieją cierpieć, kiedy potrzeba... Sally! dalibóg myślałem wtenczas o tobie... myślałem, że już nigdy nie zobaczę ciebie oczyma — że głosek twój będzie jak śpiew niedojrzanego w niebie skowronka...

SALOMEA

O anieli niebiescy! czemużeście wy nie bronili?...

HORSZTYŃSKI

Czy ty myślisz, Salusiu, że ten świat podobny do moskiewskiego obrazu w cerkwi, gdzie Abraham ze strzelby mierzy do syna Izaaka, a zaś anioł

z nieba leje dzbankiem wody na panewkę, aby nie spaliło?...

SZCZĘSNY

Bóg się nie męsza do wypadków światowych. — Słuchajcie, kiedy byłem paziem króla Stanisława, raz zrobiłem okropny występek... Oto na Bielanach w ptaszkarni księżny Sapieżyny zacząłem rąbać pawie i papugi — podchmieliłem był sobie solennie!... Dalibóg, żaden anioł z palmą nie stanął w obronie biednych ptaszków! Okropna była rzeź. — Nazajutrz sławny byłem w Warszawie, jak książę Józef... Cha! cha! cha! nie śmiejcie się Państwo... Chciałem wam pokazać, żem wielki człowiek... Wszak, księże, miałeś o mnie wielkie i zarozumiałe wyobrażenie... Chciałem, żebyś dziś uwierzył, że ja jestem, czem jestem... Jakiś Francuz w napisanej podróży o Polsce czyn mój umieścił... będę żyć na wieki wieków... cha! cha! nieprawdaż!... Dodajcie jeszcze, że miałem taki faeton jak książę Józef Poniatowski, i Francuz umieścił opis faetonu w swojej podróży...

SALOMEA

Pan żartuje z nas smutnie...

SZCZĘSNY

Na Boga! to wszystko prawda!... Przyniosę Pani książkę, będziesz łaskawa przeczytać mężowi kart kilka o moich dziełach.

SALOMEA

Pan hrabia był dzieckiem.

SZCZĘSNY

Byłem rozumniejszy od wielu starych. Sława, to piękna rzecz; warto na nią pracować... Czyny ludzi dają blask krajowi.

HORSZTYŃSKI

Młodzieńcze, rozumiem ciebie... Dajesz mi wieniec laurowy na moje siwe włosy.

SZCZĘSNY

Ja? ja? ja?... Powiem ci szczerze, że gdybym nie był mną, chciałbym być tobą, Panie Horsztyński. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do tego słowa ja... oprócz kobiet, które przywiązują się czasem do słowa m ó j... Ale źle robią — źle robią...

KSIĄDZ

Salomeo! idź przygotuj dla męża szarą polewkę.

SALOMEA

Zaraz... O! nie teraz...

SZCZĘSNY

Kobiety biorą nas za aniołów, a potem musimy z największem wysileniem grać komedyą, aby się utrzymać na jednej nodze na wysokiej kolumnie,

na której nas postawiły. Każde słowo rzucamy z bojaźnią, aż nareszcie znudzeni rzucamy się z kolumny w błoto... Odrazu trzeba zakończyć z miłością własną... i być sobą... niczem...

HORSZTYŃSKI

Do czego zmierzasz ironią taką?...

SZCZĘSNY

Nie! zamiast kobiety, położę słowo, księdza. Mości Prokopie, wiele nocy nie spałem myśląc o tem, coś mi powiedział; a powiedziałeś: widzę w tobie wielkiego człowieka. Zrazu postanowiłem dążyć ciągle do tej wielkości, nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągłe nicości na wielkość olbrzyma. Na Boga, powiedz mi, że zmieniłeś swoje zdanie, bo chcę spać spokojnie... Znudzony jestem, starając się myśleć tak, jak ludzie sądzą, że ja myślę,.. Dusi mię maska, którą mi na twarz włożono... Ludzie krępują nas nitkami pochwał, i człowiek mija się z drogą swego przeznaczenia, nie śmiejąc rozerwać słabych węzłów. Pan Horsztyński opowiadał o wielkich cierpieniach; słuchałem wtenczas uderzeń mego serca... i na Boga! — co uczułem w sercu, powiedzieć nie mogę... Coś okropnego urodziło się we wnętrznościach moich myśli... jakaś szalona duma...

HORSZTYŃSKI

Obróć ją ku dobremu celowi!

SZCZĘSNY

Trzeba mieć charakter, Panie Horsztyński... Trzeba się naprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć, a ja czasem zazdroszczę pastuchowi, co grzeje swoje ręce przy ognisku rozpalonem w głębi lasu. A czasem zazdroszczę królowi Stanisławowi, że w teatralnym ubiorze siedzi na tronie izby poselskiej. Pokażcie mi jaki cel, coby zaspokoił te dwie dziwne zazdrości!... Trzeba być aktorem krotochwili i tragedyi.

SALOMEA

Pan dziś jesteś, jak moja biedna harfa. Muzyk z Wilna nie przyjechał i nie naciągnął strun... Chciałam grać wesołą piosenkę mężowi, a z rozstrojonej harfy wychodziły tak dzikie tony, że nie mogłam dokończyć.

SZCZĘSNY

I rozpłakałaś się może Pani, że harfa tak dziko grała...

HORSZTYŃSKI

Widzisz, jak pan Szczęsny zna ciebie, Sally...

SZCZĘSNY

Biada kobietom, które słuchają nadto długo szumu płaczącej brzozy, albo śpiewu słowika!... Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku, poezyą.

SALOMEA

Chciałabym znać naszych słowików...

SZCZĘSNY

Zimna woda — letnia woda... rymowana!... Przyniosę Pani bajki Krasickiego i strofę:

»Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko...«

Panie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować w poezyi, nie umiesz czuć wdzięku...

HORSZTYŃSKI

Lubię hymn: Święty Boże — Święty mocny!...

SZCZĘSNY

Niema rymów, niema rymów! — Ja wolę słuchać rymowanego galopu mego konia, niż poezyi bez rymów!... Żegnaj mi, sąsiedzie!

SALOMEA

Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

SZCZĘSNY

Moja siostra lubi tylko belles-de-nuit, dlatego, że się po francusku nazywają.

SALOMEA *zdejmuje z warkocza jedną*

Więc niech jej Pan ten kwiatek zawiezie — chciałabym kiedy widzieć moją klasztorną przyjaciółkę...

SZCZĘSNY

Bardzo zatrudniona! wyszywa na kanwie historyą mego ojca czerwonym jedwabiem i uczy pacierza mojego maleńkiego braciszka... Dobrej nocy!...

HORSZTYŃSKI

Księże, co mówisz o tym młodzieńcu?

KSIĄDZ

Widzę, że w jego sercu jest jakaś okropna walka.

HORSZTYŃSKI

Sądzisz, że ojciec nakłania go do jakiego przestępku przeciw sumieniu i dobrej sławie?

KSIĄDZ

Słyszałem, że Hetman zbiera silną partyą; dom jego pełny płatnej namówionej zgrai...

HORSZTYŃSKI

Czas, księże, użyć tych papierów.

KSIĄDZ

Jutro... Sam pojadę do Wilna...

HORSZTYŃSKI

Salomeo, odprowadź mnie do mego pokoju.

SALOMEA

Księże, oto jest twoja latarnia, zapalona... Chodź mężu! — Dobrej nocy, ojcze!

Odchodzi z Horsztyńskim.

KSIĄDZ

Ta kobieta zgubiona...

Wychodzi.

WALLENROD (I., sc. przedostatnia).

W zamku Kiejstuta. — KIEJSTUT — BIRUTA — *Dwóch* WAJDELOTÓW — *Giermek* ALF — WITOŁD — ANNA, *żona jego.*

KIEJSTUT *do Anny*

Cóż ty, Rusinko, w złotym kokoszniku?
Czy ci wesoło w Trokach? Cóż, Witołdzie?
Miodowy miesiąc zawsze bywa słodki,
Biruta, co ma teraz włosy srebrne,
A pierwej miała włosy takie złote,
Jako miodowy księżyc — niechaj powie,
Czy Kiejstut dobrze kochał ruski miesiąc?

BIRUTA

Drapałam ciebie wtenczas pazurami,
Biłam, jak słowik skrzydełkiem gadzinę,
Jak wąż skakałam do oczów. Mój stary,
Jeśli to miód był, to pewno nie słodki!

KIEJSTUT

Skłamałaś, stara moja... o! skłamałaś.
Bom ja uciekał — tyś goniła za mną!
Schowałaś mi chełm, abym nie wychodził,
Spaliłaś w piecu lipowe chodaki,
Ukradłaś kiesę, bym nie pił za domem;
Potrułaś mi psy, abym nie polował.
Tak, na Peruna tak! Widzisz, Witołdzie,
Jak matka kłamie. Bij twoją Rusinkę,
Bo nadto wielka dobroć psuje żony.

ANNA

Jeśli bić będzie, to mu przypnę rogi
Takie, jak twoje, teściu mój, Kiejstucie.

KIEJSTUT

Takie, jak moje?

ANNA

Wszak masz hełm z rogami.

KIEJSTUT

Ha, widzisz! sarna je była przypięła
Jednemu z czarnych jeleni, dlatego,
Że nie bił żony — to są rogi sarnie.

ANNA

Ja Witołdowi przyprawię miesięczne.

WITOŁD

Co mi tam! posag już po tobie wziąłem.
Nie dbam o mięso sobole — mam skóry...

ANNA

Nie dbasz o kunę twoją? nie dbasz o nią?
Ja ci dam szczutkę w hełm, obalę z koniem,
Zawinę ciebie w pieluchy, jak dziecko,
I gdzie powieszę na haku... Pohaniec,
Nie dba o żonę!

WITOŁD

Cyt, moja kraszanko!

ANNA

Nosek o nosek — uderz! twój się stłucze...

WITOŁD

Twój był stłuczony już, gdy ciebie wziąłem.

ANNA

Pies! O Biruto, każ mu pójść do kąta!
Każ wleźć pod ławę! Odszczekaj mi zaraz,
Mój srebrny mężu, zaraz mi odszczekaj,
Bo wajdelotom powiem, że na ciele
Jesteś kosmaty — będą w pieśniach śmiać się...

WITOŁD

Koteczko moja!

ANNA

Aj! jak ty mię ciśniesz!

WITOŁD

Niech ojciec wiedźmę tę wypędzi z domu!
Wczoraj potłukła wajdelotom liry
Dlatego, że jej zaśpiewali o mnie.
Alfa przez okno rzuciła w jezioro,
Aby zobaczyć, czy Litwin z natury
Pływa po wodzie, czy zaś idzie na dno.
Dwa dni — sokoła mego najstarszego,
Który już siedział na łaskawym chlebie,
Kazała upiec i dać na wieczerzę!
Pytam: co taki twardy ptak? — a ona:
Mężu, to kura — patrzę — a ta kura
Na szyi pierścień ma żelazny — ścierwo!
A jużem udo zjadł...

KIEJSTUT

Udo sokole?!

WITOŁD

Jeszcze się teraz ze mnie śmieją wszyscy!

KIEJSTUT

Biruto, widzisz, jaki nasz syn głupi:
A mówią, że to bohater za domem.

ANNA

Mnie, żony, spytać — powiem, czy bohater!

WITOŁD

Cyt, słyszę jakieś trąbienie — od Wilna...

ANNA

Jacyś rycerze tu jadą na wyspę.

KIEJSTUT

Bogdaj nie jakich czarnych nowin gońce!
Bo mi tak dobrze, jak jest — a odmiana
Już być nie może na lepsze.

Wchodzi GONIEC

Co słychać?

GONIEC

Jagiełło uciekł z Krewa dzisiaj w nocy!
Narymunt, jego brat, i Korygiełło
Zdradą na wozach pod chlebem i sianem
Do Wilna skrytych wprowadziwszy ludzi,
Zajęli miasto, oraz zamki oba.
Załoga, napół zbrojna tu się cofa...

KIEJSTUT

Ranek spokojny — nad wieczorem burza.
Widzisz, Witołdzie — ja tobie mówiłem
Że nigdy ufać nie można Jagielle!
Ciebie ta lisia skóra będzie łudzić

Do dnia sądnego. Widzisz, co się stało!
Trzeba go było przykuć, jak niedźwiedzia,
A myśmy miodem lipcowym karmili.
Masz teraz skutek! Znów wojna — pożary —
Znów wnętrzne rzezie: — a takiego ranku
Jak dziś, by cała książęca rodzina
Zasiadła razem i ludzkiego szczęścia
Zakosztowała — może już na długo,
A może nigdy już się nie spodziewać! —
W nieszczęsną ty się urodziłeś chwilę,
Zły mój synowcze, co tak Litwę kłócisz!

WITOŁD

Jagiełły wszakże potępiać nie można!
Wolności szukał, jak z nas każdy — i ty
Ojcze Kiejstucie. Wszak byłeś trzy razy
Więźniem i zbiegiem — wie o tem Biruta.
O sobie myśląc, nie potępiaj w drugich
Takiego ducha i takiej odwagi...
Wszak się nie dziwisz, że latają orły,
Wszak się nie dziwisz, że co wiosny bocian
Znajduje zamek trocki i powraca.
Tak człowiek wolność swoję zna — i do niej
Wie dobrze drogę. Jagiełły nie bronię;
Winien był, ojcze, nam zaufać dłużej,
A tybyś mu był sam dał w podarunku

Skarb, który dzisiaj sam Jagiełło bierze.
Do nas należy drugi raz odebrać
I drugi raz mu dać, by z łaski naszej,
A nie z przemocy, był nam równy w Litwie;
A tak wyższymi zawsze my będziemy,
Lecz jako ludzie — w dobroci i duszy
Wyższymi, także jeśli można, w sławie.
Ziemią i skarby dzielmy się na równo,
A nawet — kto mniej weźmie — szlachetniejszy,
Jeśli mógł więcej, a wziął tylko mało...

KIEJSTUT

Patrzaj, Biruto, jaki to filozof
Nasz syn! Wyprawiłby nas starych z torbą...
Witołdzie, wraz mi na koń! Dzwonić w trąby!
Sam na koń wsiędę. — Alf! pociągnij miecza.
A wy do komnat, baby! — Wajdeloci,
Gotujcie liry wasze, bo podobno
Raz ostatni pieśń o mnie zabrzmicie —

WAJDELOTA

Żałobną!

Wychodzą.

ZŁOTA CZASZKA (I, 4).

KLEOFAS

Co dnia więc o rannej zorzy
Stawała mi w okienicy;

Czekałem aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy
Ślepłem białością olśnięty.

SZAWEŁ

Rozumiem.

KLEOFAS

Oczy jej to dyamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przeczyste —
Jak błyskawica ogniste;
Leją się strumieniem — palą,
Odwrócić się od nich nie można...

SZAWEŁ

Oczy zielone...

KLEOFAS

Pobożna!
Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
»Moja wina! moja wina!«
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u mej białej dzieweczki
Dwie róże, jak aniołeczki,

Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

SZAWEŁ

Potem dzwonnik franciszkański
Zadzwoni na Anioł Pański:
Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

KLEOFAS

Potem w swoje ręce bierze
Jak Iris tęczowy szlak,
I mówiąc ranne pacierze —
Jasna cała, jak lilija
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło;
Potem ją całuje w czoło
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

SZAWEŁ

Tatko Dobrodziej!...
Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?

KLEOFAS

Tak zawsze patrzę z daleka,
Jak z jej rąk tęcza ucieka,

Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie rozkwitnięte róże.
Myślami jej w pracy pomagam,
Myślami jak pachołek jej służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak Najświętszą Pannę Maryją.

SZAWEŁ

Her Jejzus! ten młokos zwaryował.

KLEOFAS

Coś mi śpiewa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł — budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy z daleka czyli z blizka,
Czy ryknie na światło księżyca,
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam, kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzińca...

BENIOWSKI. — DRAMAT. (Fragment).

Okolica dzika i bezludna. Występują CHRYSTUS, MARYA *i* ŚW. PIOTR.

CHRYSTUS

O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańska! przychodzi godzina, że będziesz rozwaloną i rozbitą jak naczynie garncarza. —

Dlaczegoście wy mury nie szły na południe? Dlaczegoście wy wieże nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: Chrystus! Chrystus!

Stałyście na miejscu, jako morze bez fali, zasypiałyście jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było was.

I powiedzą inni ludzie do pana winnicy: na cóż bierzesz robotnika onego, który śpi, który teraz późno przychodzi do winnicy, bez sierpa i bez siekiery?

Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię: — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzieciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje i zmartwychwstaniesz przez dzieci twoje.

Przyszedłem w nocy cichej z matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły: — przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą i powitał.

Albowiem już nie tamta, która stoi nad potokiem Siloe w cieniu drzew oliwnych, ale ty jesteś Jerozolimą moją i grobem moim.

MARYA

Panie, tyś się zamyślił.

GŁOS Z MOGIŁY

Skoczyłam do Wisły cała w zbroi,
Kiedy biła godzina rozpaczy:
Dziś na grobie moim Chrystus stoi —
Wspomni o mnie mój Pan — i przebaczy.

CHRYSTUS

Matko, ta mogiła woła do mnie z wnętrzności...

GŁOS Z MOGIŁY

Leżę w hełmie u nóg mego Pana:
Niech mię wskrzesi w pancernej odzieży!
Na mym hełmie z gwiazd girlanda różana,
A krzyżowy miecz pode mną leży.
Niech mię wskrzesi — ja piękna i młoda —
Niech mię wskrzesi, niech rękę mi poda!

MARYA

Panie mój, azaliż ty nie możesz wziąć tej dzieweczki za rękę i podnieść z grobu?

Ujrzeliby ją i nie uwierzyliby ani w miecz jej, ani w duszę jej, ani w piękność jej. — Z mogiły jej wyprowadzę siedm kwiatów białych i to będzie siedm oliw moich, pod któremi płakałem.

Tu, w ogrodzie bieli, proście, aby Pan odwrócił kielich goryczy od was: tu się módlcie!

BENIOWSKI. (POEMAT).

Pieśń II.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy — to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy, na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc — w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiero
Poetyczne jest — zwłaszcza jeśli miłość
Oświeci, wonną je napełni myrrą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość;
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... Ta strofa ma pewną zawiłość
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę. —
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jedną — lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej —
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni —
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga;
Ona umarła już. — Jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego. — O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić.
Ją słońca drogi mlecznej nie omylą,
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca
Ze słońc, na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże —
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym w alpejskim upadłszy parowie
Spoczywał. — Miałem ja troski i krzyże —
Więcej niż śniło się wam filozofom.
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu, ziemskim, i tam, nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie...

P. III.

»Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg zrozumiał,
I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

»Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi — a węże się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
Krzycząc: Ojczyznę nam daj lub do spania
Grobowiec sławny — ale nie posiędą
Grobu ni sławy. — I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

»I niechaj będzie jakoby stoletnie...
Lecz nie... O! Boże! nie słuchaj Jehowa«.
Tu zamilkł; oczy mu błyszczały świetnie
I pięknem srebrem uwieńczona głowa

Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze, albo za Egejskie skały;
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały...

P. IV.

A więc niech wszystko mija! — Wstańcie burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne krużе
Przechylcie, niech je próżnemi uczyni
Czas. — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadu co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka;
Bliżej chmur co grzmią — niż ludu co szczeka. —

I dziś od ogniów Boskich w dół zepchnięty,
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię — lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym, nieraz kąsa was aż do jelitów;
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żeglowych i waru
Myśli zhukanych, jest harmonia dzika;
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka,

Czasem podobna do Aniołów swaru,
    Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak gdyby twoja o! młodości
    Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
    Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
    Być może: lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano;
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno! późno już! Gdzie są słuchacze?
    Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? — nie wiem — i nie raczę
    Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. — Lecz nieraz kiedy mi zakracze
    Orzeł, lecący na słońce czerwone;
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
    Rozokolone na niebo szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
    Nawet gdy w ciało się straszne obloką.

I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką;
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach, kolor czarny.

P. IV.

Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przezroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny,
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej Platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blizko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogniów plecie:
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę;
Niech o młodości pomarzę pół senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny.

Napróżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.

Patrzaj! powracam bez serca i sławy
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! — głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś... w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina;
I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną.

Twój czar nademną trwa. — O! ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca

Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
    Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
    Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
    I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy jak dwa sny — oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
    Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
    Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
    Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o! miła,
    Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
    I boleść wyszła z niej jak nawałnica;
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
    Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca

Gmachów gotyckich biały blask rozleje,
W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę,
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze,
Wyrok łamiący mnie między stracone...
Ja czekam krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne! —

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy —
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz do zbielałej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły — czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa...
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

P. V.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak Aniołów mowa...

Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem,
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć — zamglić ją tęsknotą;
  Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
  Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
  Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
  Z mogiły powstał: toby tak zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
  Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
  Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

P. V.

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
  Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
  Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny,
  W popiołach złote słońce zawieruszy,

Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma...

Kto cię nie widział nigdy Wielki Boże!
    Na wielkim stepie przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
    Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
    Mogiły głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
    Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
    Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
    Uczuł, że jesteś, ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach;
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach.

Znajdzie — ja sądzę, że znajdzie — i życzę
    Ludziom małego serca, kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
    Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
    I widzę kościę, co jako sztandary

Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety;

Widzę: że nie jest On tylko robaków
    Bogiem, i tego stworzenia co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
    A rozhukanych koni on nie kiełza...
On, piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
    Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżno stracona przed kościoła progiem:
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Wszystko ponure, jakby duch stepowy
    Rozlał się... ów duch, co jak wszyscy wiecie,
Smutniejszy niźli księży śpiew grobowy,
    Niż księżyc, kiedy w wiosce kury trzecie
Pieją... a on się na brzóz kładzie głowy
    I między liśćmi się, jak srebrne kwiecie
Przebłyska... mdlejąc i czerwieniąc z letka,
Jak spazmująca od nudów kokietka.

Na stepach więc jest, wierzcie mi, w południe,
    Coś smutniejszego jeszcze niż o kurach
Trzecich... gdy księżyc, bóg pyzaty schudnie,
    Albo połowę tarczy schowa w chmurach.
Na stepach zda się... że jakiś odludnie
    Żyjący gęślarz... w przeczystych lazurach

Niebieskich... w bladej powietrznej otchłani
Harfę niebieską trzyma i gra na niej.

Otóż gęślarza tego głos... co zda się
Z grobowców wszystkich woła: w niebie wzdycha,
W kłosach szepleni... jak w nowym atłasie
Dziewczyna... której pierś gorset odpycha
Z szelestem, co jak fala... w równym czasie
Szumi i w różnych przestankach ucicha.
Otóż ten ciągły szmer... z jarów się grzbietu
Dobywał... jak szmer serca i gorsetu.

To porównanie tylko z opowiadań
Biorę... z Homera może lub z Petrarki
Bo sam nie tworzę nic... i z moich badań
Serca ludzkiego jeszcze mi do miarki
Nierozwiązanych braknie kilku zadań...
Naprzykład: czemu żadne mię guślarki
Tak nie wywiodą ze świata i czasu
Jak szelest igły — szycia — i atłasu.

Gdy jestem cichy sam... a niedaleko
Ten ciągły szelest rączek koło lica
I serca... które jest pod róż opieką,
I gdy przymknięta napół okiennica
Złotego światła mię przedziela rzeką
Od niej... a oka światło zda się świeca,

Dlaczego wtenczas serce me nie szuka
Rymów... o Muzo, powiedz, ale puka?

P. VI.

Dawna ojczyzno moja! o jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.
Inni już pieją twoją przyszłość cudną; —
Ja zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce kamień —

Biedne uwiędłe serce! — Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moją duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylu wichry rozerwana,
Biedna, tak dawno stojąca, gliniana.

Dawniej... o! dawniej mogłem ja cię darzyć
Różami, listki maczanymi w złocie.
Teraz ja muszę chować się i marzyć,
I w coraz większej schroniony prostocie
Podług natury sądnej, szale ważyć
I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie

Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona.

Najbielsza moja! najsmutniejsza! — w tobie
    Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie
    I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,
Którą widziałem na rycerzy grobie,
    Kamienną, dużą rycerską osobą,
Dla której kilka lamp grobowych spalisz,
A potem z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie,
    Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz póki Ikwa ma rodzinna płynie
    Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha, póki w Ukrainie
    Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli
Ciągle niby gwar smętnych duchów mgli się
I Puławskiego śpieszny rumak śni się;

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
    Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
    Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu;
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
    I kazać w niebo iść ściętemu drzewu

I z tęczami się połączyć na niebie,
Ja, co nie mogłem wskrzesić — nawet siebie!
Dlatego w dawnych ludziach złotą wiarę
  I złote serce miłuję nad własne.
Dalej więc! — mówcie mi znów serca stare
  Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
  Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące!

(P. XI).

»Wy teraz tego nie pojmiecie, Lachy,
  Jak to dawnymi czasy, w wasze dwory
Wchodziły stepów pieśni, czarów strachy
  I siwe często z lirami znahory
Siadali w progu, a wam lip zapachy
  W dom zalatały i pieśń i wieczory
Mieliście ciche na gankach drewnianych,
I myśl o rzeczach dawno zapomnianych.

»Potem wy dziada lirnika prosili
  W dom, lub dzieciątko swoje wysyłali
Z groszem, i zdrowie wy hetmanów pili —
  I pieśnią ludu mogilną płakali,
I sami na pieśń zarabiając żyli,
  Na koniach dziarskich po stepie latali

I powracali o smętnych wieczorach
Do domów — w krwawych wozach i taborach.

»A dziady znowu z lirami srebrnemi
Na ucztę lub na pogrzeb, jak sproszeni,
Ciągnęli stepem, siadali na ziemi
Albo pod lipą, albo w waszej sieni,
W płaszczach, co były od słońca złotemi,
A od łat — niby królewskiej czerwieni,
A od błękitnych łat — jeszcze innemu
Podobne były płaszczowi — Bożemu.

»Teraz już niema tej z pieśnią przyjaźni,
Ze starym ludem niema zażyłości!
Jesteście jeszcze wy do korda raźni,
Jesteście jeszcze wesołej starości,
Jesteście jeszcze w ubiorach pokaźni,
Są jeszcze u was ludzie sercem prości:
Ale już niema u waszego proga
Ludu, co wnosi pieśń i imię Boga!«

DUMA WERNYHORY. (P. XI).

Oj! powiedział ja ci, panie Regimentarz,
Że ty przegrasz walkę na kurhanach.
Oj! prowadził ty szlachtę korsuniecką na cmentarz
I z mieczami i w złotych żupanach!

Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Że ci błysną śmiertelni hułani,
W step poleci, jak burza, twój rumak ukraiński
I na koniu cię strach otumani.

Oj! powiedział ja tobie, mój synaczku Sawyna,
Że ty stracisz białego rumaka.
Oj! powiedział ja tobie, że to śmierci dolina
I dolina martwego kozaka.

Wyszły pany z mgłą białą, jak łabędzie przed ranem
I stanęli na polu przy Rosi.
Między jednym kurhanem, między drugim kurhanem
Szlachta flinty nabite podnosi.

Oj! strzelili wy tylko raz tym ogniem czerwonym
I uciekli Wielmożni Panowie,
I ruszył pan Gruszczyński i biegł na koniu wronym,
Z wielką szablą do cięcia na głowie.

Oj! hułaniż to byli, co mu drogę zabiegli,
Oj hułaniż to byli boleśni;
Kiedy pana starego na rumaku spostrzegli,
Drogę jemu na polu dwaj hułani zabiegli
Między dwiema mogiłami na cieśni.

Chorągiewki to były u hułanów straszliwe,
Co się w słońca złociły promykach,

Dwie główeczki dzieciątek, dwie główeczki nieżywe
Nieśli oni hułani na pikach.

Dwie główeczki, główeczki, jak paciorki na prątkach
Nanizane, nieszczęsne i święte!
I poznał pan Gruszczyński krew swoją na dzieciątkach,
Poznał swoje dzieciątka zarznięte,

I usta swe otworzył i w krzyż ręce rozłożył
I stał stary ojciec na strzemionach —
Aż go szablą ciął kozak — i na ziemi położył
I krew jemu ciekła po ramionach.

I żywcem go schwycili i na step ukraiński
Płaczącego ponieśli na żłobie,
Oj! powiedział ja tobie, mości panie Gruszczyński,
Lecz wszystkiego nie powiedział ja tobie!

(P. XII).

...Kiedyż, o Boży zwiastunie,
Gołębiu, który szepcesz mi do ucha
Te straszne rzeczy, zrobisz taką ciszę,
Że Polska to usłyszy, co ja słyszę?

Nad morza teraz uciekam, i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę, a wielkich duchów o poradę
Pytam; i często piorunowa wola

Ściąga mi taką moc, że ręce kładę
Na wiatrach, jako na harfy Eola
Strunach, i gra mi wiatr jak najboleśniej,
A ja posyłam na północ te pieśni.

Na północ je posyłam — miejcie czucie!
Bo kiedy głuchy grzmot bez żadnej chmury
Słychać — i kiedy słychać jakieś kucie
Jakby podziemnych zbrój, i kiedy z góry
Słychać jakoby sztandarów rozprucie
I szelest, niby orzeł je w pazury
Chwytał i ciągle darł jak stare szatry: —
Słuchajcie, to ja błogosławię wiatry.

I gdy na sennych was uderzą strachy,
I gdy zbudzicie się w łożu spotniali
I usłyszycie, że drżą wasze dachy
I tak trzaskają, jak kość, gdy się pali;
Kiedy was weźmie zimna śmierć pod pachy,
Bogu pokaże i przed nim powali,
A będzie ziemia cichą jak mogiła:
Słuchajcie! bo ten strach, to moja siła!...

Kiedy nie wiedzieć skąd, dziecko się małe
Rozpłacze, rączki założy na głowie,
Wpatrzy się w ciemność i stanie się białe,
Jak próchniejąca wilcza kość w parowie;

Gdy włoski staną mu jak zmartwychwstałe
    I przedrży wielki strach, a nic nie powie,
Lub co innego wam w uśmiechu skłamie: —
To mój go porwał wiatr i moje ramię...

Boleścią moją powietrze zaklęte
    Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
    A czasem waszej odpowiedzi słucha...
Wtenczas — o straszne godziny przeklęte!
    Siadam i strumień łez mi oczu bucha
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę,
Że mój duch cierpi tak — a nic nie może!

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
    Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
    Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
    Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu, i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
    Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
    I słychać jęk szatanów w sosen szumie...

Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
    Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć, tak — straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
    Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
    Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
    Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
    Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
    Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
    Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrojcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
    Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
    Rył imię twoje; tam gdzie same głazy,

I słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschylowskiemi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte imię
I słyszał je on laurów las, co drzymie.

Ponad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdem miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem: anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy

Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał . . . .
. . . .

SEN SREBRNY SALOMEI. (I. 3).

LEON

Sali prosta jest i wierna, —
Ale w najprościejszej leży
Taka obłuda misterna,
Tyle gołębiej odzieży,
Taki kałkuł na dnie duszy,
Taki instynkt oszukaństwa,
Taka chciwość blasku, państwa,
Taka głęboka nauka
Zadawania ci katuszy:
Że wierność ich — jest to sztuka,
W którą czart oczy pochował.
One wiedzą, że to ołów,
Coby samych Archaniołów,
Wisząc u skrzydeł zmordował...
One z tem na świat przychodzą,
Wiernością nudzą, lub zwodzą,
Obdzierają nas z odwagi,
Liczą na litość! — od matek
Nauczone, że ten statek

łzy, to są ich posagi. —
Nim się ze światem obezna,
Każda wie, że woń w narcyzach
Jest drogą, że mąż ją zezna
I zapisze w intercyzach
Ewikcyonując wyprawę.
Naprzód je widzisz ciekawe
Twego serca, słów niebacznych;
A do przyrzeczeń dwuznacznych
Podchwytywania umiętne;
Potem, widzisz nagle smętne,
Ze łzą, co się w oczach kręci:
A pełne dziwnej pamięci —
Książki, gdzie w papier różany
Sam przez siebieś jest wpisany
Wszystkimi gesty i słowy,
Wkuty — jak w kamień grobowy
W ich pamięć — już niegorący,
Ale przez ten papier ssący
Z ognia, z kolorów wypity...
Kwiat zwiędły w sercu kobiety.
I ty, co z gwiazdy pochodzisz,
One dowiodą, żeś marny,
Głupi, żeś jak szatan czarny,
Że dla nich tylko się rodzisz.

SALOMEA

Ach jak od słowików jęku
Kołysze się cały staw —
Jaka woń tych róż i traw!
Jak leci w usta! na czoło! —
Ach! ach! — jak mi wesoło! —
Ach! ach! jak mi wesoło!

LEON *na stronie.*

Nieszczęśliwa, a szczęściem spojona!

SALOMEA

Ten listek włożę do łona —
Tutaj w białym gorseciku,
Tu siedź w tajemnym kąciku,
Gdzie jedna róża czerwona
Jako lampa zapalona
Rzuca na mnie takie blaski
I tak opłomienia szyję,
Jak dno filiżanki saskiej,
Z której mój gołąbek pije
I cały się złotem rumieni. —
Ach! ach! ze mną się Leon dziś żeni!
Ze mną żeni się Leon sekretnie!

LEON *na stronie.*

Niech mi kto łeb teraz zetnie,

I rzuci Meduzy głowę
Na trzewiczki atłasowe.

SALOMEA

Jeszcze nie czas. — Jak ta sina
Gwiazda nad topolą stanie,
To będzie ślubu godzina:
A pod różane zaranie,
Sama wracając z cerkiewki,
Na tem miejscu sobie stanę:
I pomnąc na smutek dziewki,
Na me serce oszukane,
Na wstyd — bom wstydu się bała,
Będę z radości płakała.

LEON *na stronie.*

Szelma ze mnie!

SALOMEA

Ach Boże mój!
Dlaczego ta noc taka cicha!
Dlaczego tych gwiazd taki rój?
Dlaczego jedna zda się wzdycha?
A druga leci gdzieś zdaleka?
A trzecia krwawa jak pies szczeka,
I na błękitach mi ujada?

A czwarta — ach a czwarta spada,
I nad Gruszczyńcami zgasła!
Ledwie żem z trwogi nie wrzasła,
Widząc tę gwiazdę przy zgonie
Jak główkę ducha z oczami. —
Ach jak tam smutno w tej stronie!
Jaka mgła nad Gruszczyńcami!

LEON *na stronie.*

Każde jej słowo rozdziera.

SALOMEA

Czy tam w domu kto umiera?
Czy kto leży konający?
A ta gwiazda — anioł złoty
Po duszę przylatujący! —
Ach! ach! pełnam trwogi i tęsknoty.

LEON *na stronie.*

O! słowiczku! o! skończ to śpiewanie!

SALOMEA

Przez głębokie się wsłuchanie
W powietrze, wsłuchałam w trwogę. —
Ale cóż ja? Ja nic nie mogę.
Co się ma stać, to się stanie!

Ach jak smętnie, jak mi parno!
Jak mi smętnie! jak mi czarno!
O! stróżu, święty aniele,
Pamiętaj, że dziś moje wesele.

Wybiega ku wiosce.

ZAWISZA CZARNY. (II. 1).

CHORUS

Gwiazd różanych girlanda
Na hełmie się paląca
I hełm z kręgu miesiąca
I koń od śniegu bielszy,
To pani nasza Wanda,
Która chór najweselszy
Po błękitach prowadzi.

I

Próżno człowiek złotego zboża nagromadzi,
Próżno... srebrem i złotem ponapełnia skrzynie,
Próżno... stuletnie lipy w ogrodach zasadzi,
Próżno się w tęcze rodem potomków rozwinie...
Ofiara jedna tylko... wzlata nad kurhany
I lampą jest narodu — duch ofiarowany.

WANDA

Zatłumcie pól tęsknotę
I w mgłach szpaki wrzeszczące,

Uderzcie w harfy złote
I w różane miesiące —
Niewidzialne dla ziemi
Palcami różanemi
Uderzcie... niechaj grają...

I

Próżno na ziemi ludzie losy przeklinają
Jako jesienne szpaki — co chrapliwym głosem
Jesieni nadchodzącej we mgłach czarnych łają...
Bo nic nie jest wyrokiem dla ludzi i losem,
Tylko je wola własna... prowadzi szalona,
Albo też wielka, Bożą miłością karmiona...

WANDA

Czuwajcie... bo pokusa
Przed śmiercią... silniej szepce,
I ten, co na Chrystusa
Zaklęty — węże depce:
W tym zameczku na Rusi...
Gdzie duch go wabi hoży,
Złotych jabłek ukusi...
Na sercu się położy...
I zapomni, że w ciało wszedł — jak anioł Boży...

CHORUS

Gdyby co (mogło) duszę połamać ogromną,

To zapewne że miłość... czysta i nie blada...
Wszakże się prędko troski światowe przypomną
I dawnych myśli wielkich — krzycząca gromada
Prędko wielkiego ducha wyrywa z niewoli
Tak, że te więzy wszystkie rwie — choć serce boli...

CHORUS (I. 4).

Na ukraińskiem polu czystem zamek stoi,
Czasami tylko orły cień na pole rzucą
Albo też stary kurhan, z czasów dawnej Troi
Wróżką jest dawnym duchom, że znowu powrócą
I odmieni się tylko powietrze i scena,
A mniej piękną... nie wstanie z grobowca Helena.

Zamiast drzew cytrynowych... stary dąb brodaty,
Zamiast Homera... stary jaki żebrak z lirą,
Zamiast róż... nasze polne ukraińskie kwiaty,
Turek z branką... to Centaur dawny z Dejanirą...
A szlachcice, królowie teraz naszej sceny,
Sąsiadują... jak Argos król — z królem Myceny.

Pieszo mógł Agamemnon... a laurowym gajem
Jeśli gorąco... cieniem idąc i powoli
Po południu wyszedłszy... gadać z Menelajem
O sprawie Greków — albo o pługach na roli
I przed zachodem słońca być u siebie w domu,
O przechadzce królewskiej nie mówiąc nikomu...

Cóż więc królestwo?... oto tu królewskość ducha,
Z której potem o kształcie ciała ludzie sądzą —
Dwa lwy stoją w Mycenach teraz — a wiatr słucha
Jaszczureczek, które tam po kamieniach błądzą.
A w Argos co?... Atrydy z swą pamiątką krwawą
I teatr po nich... cały już zarosły trawą.

AGEZYLAUSZ. (II. 5).

CHÓR

W każdym domu są ludzie podobni z postaci
Do Karyatyd białych, schylonych pod gmachem;
Dopóki dom słonecznych promieni nie straci,
Dopóki młodych dziewic oddycha zapachem,
Dopóki srebrnym brzękiem czar na ucztę dzwoni,
Są jak osy około kwitnącej jabłoni...

Ale skoro się panu twojemu i Bogu
Podoba dom zaciemnić... śmierć gdy przezeń wionie,
Albo piorun zawierci łono twego stogu,
Na zgliszczach cię posadzi jak na czarnym tronie,
Bądźże wtedy samotnym panem — takiej cnoty:
Byś na przyjaciół zdradę, chował uśmiech złoty.

(IV. 1). CHÓR

Są dnie, jakby czerwone i ciężkie, a kto je
Przeżył i czuł — pierś nieszczęście parzyło,

I strach otwierał krwawym wypadkom podwoje
I ludzką wolę łamał niewidzialną siłą...
Kto takie dnie już przeżył lub krwią je zapłacił,
Wszelki już smak ku świata słodkim rzeczom stracił.

Wzrokiem surowym rzeczy cielesne przenika,
A stoi pośród małych ludzi jako skała.
Szczęśliwy, jeśli jakie ciało się odmyka,
Przez katy, a duch złoty wylatuje z ciała,
Zadrży chwilę i piorun złamawszy fatalny,
Nad krajem swój rozciąga duch sakramentalny.

Niby z ciała wyrwane piorunowe bicie,
Któremu lżej i lepiej — przez wszystkie miesiące
I przez wszystkie girlandy komet na błękicie
I przez wszystkie tu serca i przez rąk tysiące
I przez szczepioną w podłych tyranach obawę
Z ciała uwolnionemu — czynić Bożą sprawę.

KRÓL DUCH.

Rapsod II. 13.

Na mojem sercu jak na złotej tarczy
Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
I sto aniołów upada bez duszy,

Myśląc, że serce za wszystko wystarczy,
Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy!
A ja co? — anioł na dnie mgieł czerwonych,
Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

R. II. zaniechany. Strofy 49—57.

— Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
Nie powróciła na te ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna
Chce jasnej broni, a gardzi nikczemną;
Choćby już tylko... miodem prostym kwietna,
Z myślą — jak chłopek prostą, ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie
Chłopka się kłaniać Panu: — błogosławię.

Równy chłopkowi małemu prostotą,
A niższy jeszcze aniołów pokorą,
Jak oni, skrzydeł wewnętrzną pozłotą
Nakrywam chatę, zkąd miód ludzie biorą.
Gotów, jak gołąb, zostać nad ciemnotą,
Łonem świecący nad suchą ugorą,
Gdzie sobie trzody ciche śpią na trawie:
Ludziom i trzodkom cichym — błogosławię.

Tam — walka krwawa... o ścierwo i jadło!
Tu cisza, pokój, błękitna pogoda

I w ogniu moim strzaskane widziadło:
    Duch nieznajomy dawnego rapsoda...
Niechajże, Panie i socha i radło
    I niestrudzona myśl, bo jeszcze młoda,
A piękna, jak sen widziany na jawie,
Wstaną... niech wiecznie kwitną! — błogosławię.

Niech będzie piękną, niech będzie wesołą —
    Choćby już nigdy w niej nie zaświeciło
Rycerza mgliste, ale piękne czoło
    Między oczyma z piorunową siłą;
Choćby tak, jako to żórawie koło
    Które się skrami chaty oświeciło,
Kolumny drżące budowała sławie
Bez innych świateł, jak te: — błogosławię!

W mroku zostawiam ją — lecz pod aniołów
    Skrzydłami, które w tęcze ją oprzędą,
Sam idę... i gdzieś, z rykiem smętnych wołów,
    Gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolędą
Wyglądać będę, aż ze złotych stołów,
    Do których prosi Bóg — a chłopi siędą,
Przyniosą mi chleb wędrowne żórawie:
Ptakom i stołom ludu — błogosławię!

Gwiazdom gwiżdżącym po łąkach — i kwiatom
    I lasom, które w ciągłych płaczą szumach,

I pięknym wiosnom... i złocistym latom
I starcom, którzy pogrążeni w dumach,
Wesołym żeńcom — i dworom — i chatom
I ogniom, które dziś rodzą się w tłumach,
Bez czasu będąc... ale w Bożej sprawie:
Siódmy raz zdaję moc... i błogosławię!

Tom rzekł — a na mnie pan spojrzał litośnie,
Bo to uczułem, czego niema dusza,
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie
I rosnąć ducha mojego przymusza;
I zacierpiałem — ale tak radośnie,
Że sto lat uśmiech trwał, a w myślach głusza;
Jam tylko rosnął i ofiary składał,
A sto lat we mnie duch — uśmiechem gadał.

Jam duch... już tylko w sobie... okiem porę,
W swoich jutrzenkach się czasami mącę,
A czasem w morzu jakieś perły biorę
Dziwne — zaklęte — ogromne miesiące
Podnoszę — rzucam... o drzew twardą korę,
Myśląc, że nimfy wystraszę błyszczące,
Które o swojej piękności nie wiedzą,
A w ciałach, jako w starych drzewach siedzą...

R.: Księga legend. 2—5.

Bóg ojców, który mię raz na śpiewaniu
Śpiącego zastał i naszedł wieczorem

I cały na mnie rzucił się w błyskaniu
I mocy swojej przeraził upiorem,
Bóg duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną
Napełnia pieśnią to maluczkie łono...

Ten sam, który z tęcz nad potopem błysnął,
Za Izraelem szedł w ognistej chmurze,
W skale się ukrył i wodą wytrysnął,
Na górach stojąc zamienił się w burzę
I piorunami swymi lud przycisnął,
I błogosławi dotąd — prawdy stróże,
Ten sam... napełnia mnie, naturę małą,
Chrystus, który był piorunem i skałą.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę;
Wiersza się nawet dawnego strukturą
Ubrałem Panu memu przez pokorę —
Tak od cielesnej uwolniony troski
Cały się zdając na moc i duch Boski.

R. II. Miecz a Sława. 41—45.

Teraz ja widzę, jak się owa cała
Kraina, rosnąć w niebo przeznaczona

Bogu służyła — i zasługiwała
Duchem uczynków — jak ziarenne łona.
Już mają ducha, lecz duch wtenczas działa,
Kiedy moc jego gniciem zatrwożona,
A on już w zgniłym prochu spać nie może,
Lecz sił dobywa... i wyżej się porze.

Jak on duch, mówię, w orzecha trumnicy
Wiekiby całe spał na skronia obie,
Nakształt egipskiej wonnej balsamicy —
Tem tylko różny że ma gwiazdę w sobie —
Gdyby go nie wstrząsł ręką błyskawicy
Pan, gdyby gniciem nie zatrwożył w grobie
I znów nie wyzwał do pracy i ruchu
I do potęgi sił które są w duchu;

Podobnie, jak to *ja* ptasie lub orne
Śpiące, a siebie jeszcze nieświadome:
Lud mój uczynił formy swe pokorne,
Śpiące... a minął wszystkie góry strome,
Nie wiedząc, że się przez kształty wytworne
Zdobywa cudo piękności widome,
Świętość, która się nie zna, ale czuje
I cicho z niebios różanych zlatuje.

Co do mnie — Pan mi drogi niebezpieczne
Zakrył, prostoty mię owiawszy wonią,

Abym fundament na gmachy słoneczne
Miał pewny, a te zasługi miał bronią...
I oczy moje były jakby mleczne,
I krwią mię Pan Bóg porównał z jabłonią,
Która nie idzie prędko pod obłoki,
Lecz ma ciężarny płód i słodkie soki.

I jako zboże mię w ziemi zatracił,
A dobrze wprzódy krwią uprawił ziemię,
Abym stem ziaren za ziarno zapłacił
I szedł spokojnie naprzód przed me plemię,
A w myśli ważne zwolna się bogacił
I umiał kiedyś krzyża dźwigać brzemię,
Kiedy narody całe staną zdradne
I będą patrzeć gdzieś z gór — czy upadnę.

R. III. Bolesław Śmiały. Pieśń 2. Str. 2—4.

Któż wie, jakie ma w domu swoim kwiecie,
Jak przed złodziejem zamknąć formy wrota?
Lud Izraela to wie — wy nie wiecie.
Taka jest nędza wasza i prostota!
To też wam cudzy wiatr domy zamiecie,
Aż ktoś tam czoło polskie zakłopota,
I zacznie Boga przyzywać w żałościach,
Widząc te pustki ducha w polskich kościach.

Postawmy polską myśl nad poduszkami,
Postawmy wiary naszej Archanioły,
Postawmy myśli serdeczne nad nami
I pieśń z otwartą myślą, jak miecz goły —
Niechaj machają w ciemności mieczami
Te wielkie stróże nad sennymi czoły,
A nikt się taki do nas nie przybliży,
Który nam w starej naturze ubliży.

A nie dlatego, bym miał jaką wzgardę
W sercu, jak człowiek przeciw człowiekowi,
Ale chcę, aby zamki były twarde
Na tych granicach, które duch stanowi,
By polskie duchy tem przed Bogiem harde,
Że się poddają jedynie duchowi,
Że przymuszone być z ciała nie mogą
Przeciwko vetu swemu — żadną trwogą!

Toż, pieśń 4. Str. 14—17.

— O! przyjdź! śpiewała, bo gołębi stadem
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;
O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem,
Na łonie białem złożę i upoję...
O przyjdź — miesiąca i złodzieja śladem,
A otwórz cicho jak anioł podwoje,
A od miesiąca weź kluczy złotego,
Cicho jak ogień szeptaj — bo mię strzegą.

Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
A ciebie niema, mój piękny i młody;
O! przyjdź, w płomieniach cała czekam ciebie,
Rajskieć gotuję kwiaty i jagody:
Jestem pierzchliwa, jako młode źrebię,
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody,
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem jak kwiat rajski, cała wonna.

Nie znajdziesz, czegom nie obiecywała,
Lecz obiecuję, czego dusza pragnie:
Przyjdź, a lichtarze złociste zapalę,
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem,
A jeszcze jaśniej przez mych ust korale
I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem

. . . .

. . . .

I dalej szła pieśń taka w ogniach cała,
Kolor jawiąca w słowach doskonale,
Klejnoty oczu — białą perłę ciała,
Ust uśmiechnionych najżywsze korale...
I po tej pieśni dusza ma wleciała
W ogród zamknięty na małżeńskiej skale;
Bo kłamstwo w pieśni było, że nieszczerze
Jak owca i kwiat wabiła pasterze.

Fragment.

Ja brat śpiewak znowu do was przychodzę,
A po drodze wstąpiłem do chat i wiosek
Z tą pieśnią — każdy mię kłosek zna i każda mogiła.
Matka chłopca wysyła — i z lirą dziada zaprasza,
Bo dziś ojczyzna nasza w pieśni skrzydlatej spoczywa,
a pieśń żywa złożyła skrzydła i leży
w sercu — dawnych rycerzy — ma dziś śpiewaków za
[karę!

O miejcie wiarę... że to, co śpiewam, tak było —
Pod mogiłą są ciała — lecz duchy mi żywe śpiewały,
Duchy w duchu — świat cały — globowy mi śpiewał,
Jam przelewał w łzy moje pieśni — a z łez czynił posągi.
Słuchajcie więc jak ongi — na ziemię przyszedłszy
Złote mi żyto było koroną — a maki [okwitą,
purpurą... Tak jak ptaki śpiewałem jutrzence wesoło —
A białe sioło — bo nazwać stolicą nie mogę
Miasta, gdziem się urodził... trwogę czyniło Germanom
I Rusi, i Limanom, gdzie wtenczas czarne kłobuki
Pieczynki — wieże swoje i łuki ogromne jeżyli.
Pan, który chyli narody do nóg człowieka,
Pan od wieka — przez duchy to swoje wybrane
Czyniący — swe rumiane sny spuścił na mnie w mło-
[dości,
Gdym w ciemności i w ciężkiej dziecięcia ślepocie
Łzami się zlewał; krocie widzeń pańskich stawało

I w ciemne ciało piorun wlatywał Jehowy.
Więc, bywało, mi z głowy złote wylecą promienie
I na cienie w ciemności wyjdą; piastunka ucieka,
Ojciec drży, nie człowieka w dziecku, ale anioła
Widzi i głośno woła na bogi swe duchy o pomoc...

Fragment.

Jakoby szałas, przez belki złocone
Wiązany, leśną widziałem kaplicę.
W niej lud, kniaź, wodze, supany czerwone,
Wieńce jemioły — skrzydlate zbroice —
Bliżej kapłanka, którą aż z Arkony
Przywiozły białe jak śnieg jałowice,
Ustrzygła mój włos i w czarze z bursztynu
Paliła, a pieśń słowiańskiego gminu

Brzmiała w około: — »Będziesz tak strzyżony,
Jak biała owca... Będziesz tak na świecie
Uciśnion, jako każdy duch rodzony,
Którego woda topi — ziemia gniecie —
Z ciała wypędza ogień-duch czerwony —
Mróz zimą dręczy — ogień pali w lecie —
W podróży wieczna udręczy tęsknota —
A zła wieść czeka przed domem u płota...

Żona cię zdradzi — przyjaciel udręczy —
Pan cię uciśnie — wróg napadnie zbrojny —

Dziedzic pośmiertny w pracy nie wyręczy —
Grób nie nakryje po śmierci spokojny...
Na coś ty przyszedł od słońc i od tęczy
Na ten świat biedny i w ten dom rozbojny?!
Anieli cię już z ciała nie wydźwigną!
Ludzie chwycili — jak owieczkę strzygą«. —

Fragment.

O wy, którzy mnie jeszcze dziś słuchacie —
Dawnego ducha... tajemniczej mowy!
Niechaj wam pięknie w waszej śnieżnej chacie
Ta pieśń ujaśni jaki dzień zimowy!...
Jeśli jaskółce uchrony nie dacie,
Odejdzie od was — smętny Bóg domowy;
Wiatr wam zawyje grobowemi usty
Tę smętną klątwę: otóż dom wasz pusty...

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy.
Niech jej w niebiosach głośniej dośpiewają,
Niż ja, kończący tu bolesne losy...
Anioły moje już przybiegły zgrają —
Tłuką mi serce — targają mi włosy
I nazywają już wielką osobą
I szepcą... i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni
Bracia — tem tylko różni od śpiewaka,

Żeście lub mędrsi, albo mniej bolésni

. . . .

. . . .

A czy to cudzą powieść, czyli własną
  Śpiewam: niechaj nikt o to mnie nie pyta.—
Gdy dawne gwiazdy zachodzą i gasną:
  Nowa — jak słońce różane rozkwita,
Od której duchom starym będzie jasną
  Praca i boleść dawno już przebyta,
A dziś ze smętkiem... [ ] i miesiąca
Na długi przyszły czas zmartwychwstająca.

EPIGRAMMATA.

Ziarnem Polski być jeden prosty człowiek może,
Jak w ziarnku żyta — żyje całe przyszłe zboże.

*

Ludzie wielcy, a z siebie ruch urodzić zdolni,
Pośród min pękających chodzą najpowolniej.

*

Możesz się bawić światem, póki cię Duch Boży
Jak strażnika nad swymi skarby nie przełoży.

*

W Bogu, w duchu, w idei, mówisz, cel daleki,
Siła to grunt... — Toż chłopom posyłaj bifszteki.

*

Nieranność Achillesa, a stąd jego dzielność,
Jest to uczuta, w duchu wielkim, nieśmiertelność.

*

Kościół twój tam, skąd Boskie płynie ci natchnienie,
A nie tam, gdzie krzyż widzisz, belki i kamienie.

*

Religii, która się w duchu krajów wzmaga,
Nie pacierz — lecz najlepszym dowodem — odwaga.

*

Za Jowisza konałem niegdyś śmiercią krwawą,
Potem za Rzym — za honor — za krzyż i za prawo.
Wszystko to za Jowisza; — raz święcie konałem,
Aby we mnie syn Boży nie klęknął przed ciałem.

*

Najpiękniejszy, najświętszy Boga tron na ziemi
Na który Pan Bóg nieraz kilka wieków czeka,
Jest to duch ogromnego wieszcza i człowieka,
Wiatrak niby ze skrzydły jasno słonecznemi,
Ciągle porywający świat kamienny w górę.

KONIEC.

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
I SPÓŁKI
W KRAKOWIE